

Witold
Hulewicz
Literacki

P. II 376

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy“

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

T Y G O D N I K

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

WŁADCZA INDYWIDUALNOŚĆ A MOŻNOWŁADCZE TENDENCJE SZTABÓW PARTYJ POLITYCZNYCH

NIEDYSKRECJE:

- Potęga jednostki we współczesnych
demokracjach parlamentarnych . . . 770
- Teror moralny sowietów „
- Zwycięstwo socjalistów w Australji i
Nowej Zelandji „
- WŁADCZA INDYWIDUALNOŚĆ A MOŻ-
NOWŁADCZE TENDENCJE SZTA-
BÓW PARTYJ POLITYCZNYCH —
W. Stpicyński 770
- KOMUNIŚCI CZESCY NA ŻOŁDZIE
MOSKWY—*Z. K.* 772
- RZĄDY PARLAMENTARNE WE FRAN-
CJI I ICH BRAKI—*I. Lewin* 773
- CICHA REWOLUCJA W RUMUNJI—*H.g.* 773

„GŁOS PRAWDY“ LITERACKI

- KILKA SŁÓW O LITERATURZE DLA
MŁODZIEŻY—*F. A. Ossendowski* . . . 774
- PIEŚŃ O CZERWIENI—*Witold Hulewicz* . 775
- NA MARGINESIE—*jkłb.* 776
- BELLUM OMNIUM—*Władysław Rymkiewicz* 777
- KSIĄŻKA W ODRODZONEJ POLSCE—
Juljusz Kaden-Bandrowski 779
- LITERATURA A MUZYKA — *K. Stro-*
menger 780
- POPZEDNICY MAETERLINCKA—*Jani-*
na Maszewska Knappe 782
- PETRAŻYCKI CONTRA TOŁSTOJ —
Stefan Sierpień 783
- NAD KSIĄŻKĄ—*St. Helski* 784

NIEDYSKRECJE

POTEGA JEDNOSTKI WE WSPÓŁCZESNEJ DEMOKRACJI PARLAMENTARNEJ znakomicie przejawiała się przy tworzeniu nowych gabinetów w republikach Nadbałtyckich. Rządy Łotwy i Estonji podały się niemal jednocześnie do dymisji. Po wielu pertraktacjach, targach, układach i posiedzeniach stronnictwa sejmowe wyłoniły wreszcie nowe gabinety. Na Łotwie dymisję rządu p. Juraszewskiego spowodowały nowe wybory, które zasadniczych zmian w partyjnym układzie sił nie wytworzyły. Powstały więc tam nowy rząd koalicyjny z premierem p. Cielmieniem na czele, jednoczy na wzór poprzedniego gabinetu — partje umiarkowane, centrum włościańskie i mieszczańskie oraz mniejszości narodowe (polak — poseł J. Wierzbicki zachował i przy nowym rządzie urząd wiceministra spraw wewnętrznych). W Estonji natomiast misję tworzenia nowego gabinetu powierzono po raz pierwszy od proklamowania niepodległości państwa — socjaliście. Desygnowany na premjera Estonji przywódca socjalistów p. Rey tworzy koalicję lewicową. Rzecz charakterystyczna dla ustroju parlamentarnego, iż obie koalicje republik Nadbałtyckich na stu deputowanych każdego z sejmów krajowych posiadają po 51 „pewnych” głosów. W zależności od poszczególnych posunięć rządów, liczyć one mogą też na część głosów opozycyjnych. Stała jednak i pewną większością popisać się nie mogą. Przy czysto arytmetycznej technice ustosunkowania sił partyjnych na terenie parlamentarnym na pierwszy plan wysuwa się jednostka. Pięćdziesiąt jeden na stu! Zależnie więc od woli lub humoru tego jednego „nieznanego posła”, tworzącego większość rządową, gabinet pozostanie u władzy lub będzie zmuszony ustąpić; czyż nie powinno napawać dumą każdego z deputowanych stronnictw, wchodzących w skład koalicji, przeświadczenie, iż właśnie w jego rękach leży los rządu? A co stanie się z gabinetem, gdy szanowny suweren miast do parlamentu, uda się do kina lub teatru, albo też zasłabnie i przez kilka dni nie zjawi się na sali sejmowej? Zaiste, nie „tres faciunt collegium”, a „jeden poseł jest podporą rządu”!

TERROR MORALNY SOWIETÓW zastosowany został ostatnio do wiceprezesa leningradzkiej Akademii Umiejętności, znanego archeologa, filologa i hellenisty, profesora S. Żebielewa. W wydanym w Pradze Czeskiej przez uczonych rosyjskich zbiorze artykułów, wyraził się on o jednym ze zmarłych w roku 1918 profesorów, iż lepiej jest dla nieboszczyka, że umarł tak wcześniej i nie przeżył w Rosji „tych ciężkich i nieszczęsnych 10 lat”. Władze sowieckie dopatrzyły się w tem zdaniu ataku na swój prestige zagranicą. Jeśli tedy zrozumiałe są pogróżki G. P. U. w stosunku do prof. Żebielewa i ewentualna kara, jaka go za szczere wyznanie spotkać może, to godnym ubolewania jest fakt potępienia sędziwego uczonego przez wszystkich niemal pozostałych członków Akademii, oraz pozbawienie go stanowiska wiceprezesa najwyższej organizacji naukowej. Oto, jak władza sowiecka deprawuje dusze swych obywateli, zabijając w nich najdrobniejsze iskielki krytycyzmu!

ZWYCIĘSTWO SOCJALISTÓW W AUSTRALJI I NOWEJ ZELANDJI podczas ostatnich wyborów do parlamentów tych Dominjów, jakkolwiek nie dało jeszcze partjom robotniczym dostatecznej ilości mandatów do utworzenia większości w izbach ustawodawczych, to jednak znakomicie powiększyło szeregi deputowanych socjalistycznych, tworząc znaczny wyłom wśród partyj burżuazyjnych. Sukces wyborczy partyj robotniczych w Dominjach, słynących ze swego dobrobytu, w krajach, które ochronę pracy, wysokość płac robotniczych i ustawodawstwo społeczne najdalej posunęły, służy najlepszym dowodem mylności zapatrywań bolszewików rosyjskich i tych europejskich ekonomistów i polityków, którzy z wypadków europejskich 1917 i 1918 lat wysnuli wniosek, iż prawdziwy socjalizm, jest „socjalizmem nędzy i rozpacz”. Przeciwnie, porównanie warunków płacy i pracy proletariatu chińskiego lub indyjskiego z australijskim, nowozelandzkim, lub angielskim dowodzi, że socjalizm rozwija się w tych właśnie krajach, w których dobrobyt robotnika jest wyższy. Wzniosłe idee społeczne kultywuje robotnik syty i dobrze odziany pewniej, aniżeli zgłodniała, wynędzniała i pałająca nienawiścią do wszystkich tłuszcza.

WŁADCZA INDYWIDUALNOŚĆ A MOŻNOWŁADCZE TENDENCJE SZTABÓW PARTYJ POLITYCZNYCH

Z rozważań na marginesie aktualnych zjawisk w życiu polskiem.

Mniemam, iż w artykule, zamieszczonym w ubiegłą niedzielę na tych szpaltach, a zatytułowanym: „Demokracja a silne indywidualności polityczne”, udało mi się przekonać czytelnika, iż burze, jakie od czasu do czasu podnoszą się — u nas i gdzieindziej — w szeregach t. zw. przysięgłych demokratów przeciw wybitnej, władczej indywidualności, nie są bynajmniej wynikiem jakiejś zasadniczej kolizji między demokracją a silną indywidualnością. Demokracja bowiem — w obecnej fazie rozwojowej swej struktury — nie wyklucza nawet przejściowego ograniczania kompetencji parlamentarnego kolektywizmu na rzecz silnej jednostki, na barki której spływa wówczas indywidualna odpowiedzialność za państwo. Pełnomocnictwa ustawodawcze, udzielone przez Sejm, w niezmiernie szerokim zakresie,

p. Władysławowi Grabskiemu, jako premierowi, — są tego nieodwołalnym przykładem. Tem więc, zatem demokracja pozostawia otwarte pole działania władczej indywidualności, gdy praca jej — jak to ma miejsce u nas obecnie — rozwija się obok pełnoprawnego parlamentu, a więc w ciasnych formalnie ramach, jakie konstytucja określa dla władzy wykonawczej.

Godzi się tu też zauważyć, że w naszej dobie, w krajach europejskich, podstawy na jakich wyrasta i trwa silna indywidualność polityczna — są nawskroś demokratyczne. To znaczy, że niepodobna sobie wyobrazić dzisiaj, by jakkolwiek jednostka mogła wysuwać się stopniowo z szarej masy na czoło narodu i na szczyty władzy w państwie inaczej, jak na podstawie swej pracy i zaufania współobywateli. Jest to może

paradoksem, lecz możność obdarzania władzą miernot jest dzisiaj tylko przywilejem parlamentu. Z możności tej sejmy nasze szeroki robiły użytek, atoli miernoty, nie znajdując oparcia w społeczeństwie, padały, a wraz z niemi, powoli, padał autorytet możnowładcy-sejmu Jednostka, idąca o własnych siłach, przywileju tego nie posiada i musi trzymać się demokratycznej drogi zaufania obywateli. Epizody jej walk, czy to z parlamentem czy z partjami politycznymi, — nie mają tu żadnego znaczenia dla oceny zjawiska. Jeśli się bowiem używa pojęcia „zamach stanu“, jako dowodu na niedemokratyzm danej indywidualności, wypada zauważyć, że właśnie t. zw. zamach stanu jest zjawiskiem, które żadną miarą nie może się odbywać w próżni. Jeśli zamach taki spotyka się z gorącym przyjęciem ze strony obywateli i doznaje z ich strony pomocy, znaczy to, iż był on wyrazem demokratycznej woli ludu: powaleniem istniejącego zła. W przeciwnym razie nie może się ani udać, ani tem więcej utrzymać przy zdobytej tą drogą władzy.

Nie udał się przecież zamach Narodowej-Demokracji, wykonany w styczniu 1919, ba! — nie utrzymał się — tak zdawałoby się legalistyczny, bo sankcjonowany przez prezydenta Wojciechowskiego — zamach Witosa i N. D. w maju 1926. Wyłoniony przezeń rząd padł jak domek z kart, a premier tego rządu, gdy mu zaproponowano, by z Wilanowa udał się do Warszawy, w obawie przed zlinczowaniem, wyprosił sobie, by zawieziono go wieczorem, bocznymi możliwymi ulicami i wprost do mieszkania marszałka Rataja w gmachu sejmowym, gdzie ukrył się przed oczyma mieszkańców stolicy.

Kwestja czy silna indywidualność, dochodząc do władzy, skupia w swoim ręku mniej lub więcej formalnej władzy, — ustanawia swoją dyktaturę lub też do środka tego się nie ucieka, — jest sprawą charakteru narodu z jednej i wielkości danej jednostki z drugiej strony. Jest to niewątpliwie temat do nader cennych i pouczających rozważań. Nie zmienia on wszakże faktu, że we wszystkich omal wypadkach zjawiania się — w naszej dobie — na arenie życia narodów silnych indywidualności i brania przez nie władzy, mamy do czynienia z protestem przeciw anarchji, wytwarzanej przez rozbite i zdemoralizowane parlamenty, protestem idącym od szerokich mas społecznych i podtrzymujących śmiało wystąpienie odważnej indywidualności i sankcjonujących jej władzę. Fakt, że we wszystkich wypadkach — mówimy o Europie — takiego rozwiązania kryzysu, trapiącego organizm państwowy, — obaleniu anarchji parlamentarnej towarzyszy szybka poprawa warunków egzystencji obywateli i to zarówno psychicznych jak ekonomicznych, jest nierównie wymowniejszy od wszelkich odezw i protestów powalonych gwiazd parlamentarnej niemocy, niesmacznych zwłaszcza, gdy są wygłaszane poza granicami ojczyzny protestujących.

Wypada bowiem w tem miejscu zauważyć, że o ile mechanika wypowiedzania swej woli przez naród, może być słusznie krytykowana, ile że, zwłaszcza w krajach o niskiej kulturze, nie jest ona doskonałą, — z czego zresztą bynajmniej nie wynika, jak chcą niektórzy monarchiści, by była niepotrzebną, — to jednak nie da się zaprzeczyć, że naród posiada silnie wyrobiony instynkt samoobrony, t. j. odczuwa on intuicyjnie swój interes. I dlatego woli on pozwolić działać silnej jed-

nostce, która mu zapewnia spokój życia codziennego, niż ulegać literackiemu urokowi protestów opozycji, w którym nie widzi żadnego dla siebie pożytku.

Stąd już tylko krok do zrozumienia niebezpieczeństwa *zasadniczej* względem silnej indywidualności i jego pracy, opozycji. Jeżeli bowiem ta zozydzona przez doktrynerów władza i sprawująca ją jednostka przynoszą pożytek społeczeństwu i państwu, a to co miało być rzekomo piękne nie wykazuje żadnej innej działalności, poza utrudnianiem pracy pożytecznej, — to w rezultacie, to co było zozydzone staje się w opinii powszechnej zbawienne, a to co było rzekomo piękne, — głupie i zbyteczne. Człowiek, który długo, niepotrzebnie, a zatem i bezskutecznie krzyczy — staje się śmiesznym i irytującym. To samo dotyczy partji, bądź inaczej się nazywającego kolektywu.

Z tego punktu widzenia N. D. wykazuje nierównie więcej rozumu niż lewica, a zwłaszcza niektórzy działacze socjalistyczni i p. Dąbski. N. D. bynajmniej nie posuwa nazewnątrz swej głębokiej nienawiści do Piłsudskiego, do wyrzekania się udziału w tem co czyni on i jego rząd pożytecznego dla kraju. Przeciwnie. Swoim zwolennikom powiada ona: patrzcie jak to dzięki nam poprawiły się finanse państwa, — przecież to wszystko wymyślił nasz Zdziechowski. Wiedzą oni doskonale, że Zdziechowski niczego nie wymyślił i sami zresztą zepchnęli go w ciasny kąt. Lecz chodzi tu o splendor obozu, o to, że przyznając się do sukcesów Piłsudskiego, stwarzają sobie niejaki szanse utrzymania się na stanowisku żywego organizmu, przyczyniającego się do dobra obywateli. Ta sama metoda stosowana jest zresztą do wszystkich powodzeń pracy rządu, w każdej dziedzinie. Opozycyjność N. D. natomiast stara się trzymać kurczowo płotu doktrynalnego legalizmu, a głównie wyraża się w żmudnej i bezskutecznej pracy ośmieszania osób należących do t. zw. obozu rządzącego, z głębokim żalem, że niema podstaw do kompromitowania ich, co znowu z taką łatwością przychodziło nam i temu naszemu kochanemu tygodnikowi w czasie rządu Chjeno-Piasta, względem nawet samych ministrów tego sławetnego gabinetu.

Nasza lewica dąży zaś do przekonania społeczeństwa, że w niczem z tego co rząd czyni, niema — broń Boże — jej udziału. I rozbudowa ubezpieczeń społecznych, tak świetnie pchnięta naprzód przez min. Jurkiewicza, — jest zła. I czujność jego nad sprawiedliwym podziałem zysków z produkcji między kapitał i pracę, zyskującą sobie szerokie uznanie w masach robotniczych — jest szkaradna. I wielki postęp w dziedzinie podniesienia higieny życia mas pracujących miast i wsi, gnany we wspaniałem tempie przez min. Składkowskiego — jest wstrętny. I zmniejszanie się bezrobocia dzięki usilnej pracy premiera Bartla, — jest nienawistne. Słowem wszystko jest okropne, — bo panowie z lewicy są w *zasadniczej* opozycji. No więc — zapytają wreszcie obywatele — jeśli, drodzy panowie, uważacie, że wszystko co jest dla nas pożyteczne, jest złe dla was i wy do tego ręki nie przykładaliście i przykładacie nie chcecie, — to może, jeśli łaska, powiecie: po co jesteście nam potrzebni? Rozłam w P. P. S. to rezultat tej właśnie, niemądrej *zasadniczej* opozycji. Lecz mogą być i dalsze i gorsze i głębsze skutki.

Jeśli wolno, dla uplastycznienia zjawisk, zapuścić się w dziedzinę czystej wyobraźni, spróbujmy zdać sobie sprawę, co stałoby się z władzą w Polsce, gdyby

pewnego dnia Marszałek Piłsudski zrobił prezent pp. socjalistycznym doktrynerom i zrealizował ich marzenie o „likwidacji obecnego systemu”, pod czym należy rozumieć usunięcie się samego Marszałka, jego rządu i jego ludzi wraz z BB na terenie parlamentu, usunięcie w zacisze pieleszy domowych, może nawet — dla pełni realności marzenia — wraz z Prezydentem Mościckim i... no i pozostawienia opozycjonistom lewym i prawym, którzy oczywiście musieliby dokonać nowego podziału mandatów poselskich przez nowe wybory, pełni władzy.

Szanowni obywatele, gdy tak rozpatrzymy dokładnie tę perspektywę, nie znajdziemy w nich szans, by owa marzona „likwidacja obecnego systemu” mogła się dokonać na korzyść lewicy. Tej zasadniczo zopozycjonizowanej, nastawionej i wyćwiczonej od zgorą dwóch lat w negacji i przez nią rozbitej lewicy. Pomijamy już, iż walory dźwigane przez p. Barlickiego i Dąbskiego nie wystarczają dla zdobycia większości w Sejmie. Ważniejsze jest bowiem, że w treści psychicznej, lewicy parlamentarnej ukryta jest góra sił rozkładowych, która uniemożliwi oparcie się o nią rządu, nawet przez nią wyłonionego. Lewica zaprawia się w negacji i zaniedbuje zagadnienie twórczości, poza nielicznymi jednostkami oddającymi się pracy społecznej; żyje doktrynami i nie chce znać rzeczywistości.

Realizacja marzenia o „likwidacji obecnego systemu” byłaby zapewne największym ciosem wymierzonym lewicy doktrynersko-zasadniczo opozycyjnej.

Lecz jest to tylko wizja czystej fantazji. I gdy piszemy te słowa, rodzi się natrętne pytanie: czy aby tak, czy aby fantazji? Czy, jeśli naszą perspektywę przeciągnąć trochę w czasie, nie powtórzy się ten sam obraz, już jako wizja rzeczywistości?

Któż zdoła to rozstrzygnąć? Niech wystarczy przestroga, że tak być może. Nie możemy jej nikomu narzucić, — nie nasza to sprawa. Możemy ją tylko zaofiarować, tak jak się ofiarowuje przyjacielowi kwiat życzliwości. Jeśli go podepcie — pozbawia się sam przyjemności i pożytku posiadania kwiatu.

Lecz, przekraczając granicę artykułu, zaledwie zbliżyliśmy się do głównego tematu naszych rozważań. Trudno. Temat to jeden z najistotniejszych. Zatem powróćmy doń w niedzielę najbliższą.

W. Stpiczyński

KOMUNIŚCI CZESCY NA ŻOŁDZIE MOSKWY

Były członek Kom. Partji Czech — Goliaf, który niedawno wystąpił z partji, ogłosił drukiem broszurę, a w niej postawił centralnemu komitetowi partji komunistycznej cały szereg zarzutów i w tej liczbie najpoważniejszy — zarzut dopuszczania się zdrady państwa na rzecz Rosji Sowieckiej i pobierania z tego tytułu stałych subsydjów od Stalina. Goliaf twierdzi, iż w 1919 roku wybitny komunista czeski Jan Syniek przywiózł z Moskwy 33 brylanty, wartości 1.650.000 koron, ukrywając je w obawie rewizji celnej w obcasach swych bucików. Kamienie drogocenne doręczono wówczas komuniście — doktorowi Houzerowi. Wódz

komunistów czeskich — dr. Szmeral wyrażał się wówczas o Synieku z największymi pochwałami, gdyż przedtem zdarzały się nieraz wypadki malwersacji przewożonych pieniędzy. Oprócz Synieka, przywozili jeszcze subsydja z Moskwy — Miłosz Waniek i Antoni Zapotocki. Gdy już organizacja czeskiej partji komunistycznej została całkowicie zakończoną, pieniądze popłynęły z Moskwy szerokim korytem.

W Berlinie na tajnym zjeździe komunistów Europy Centralnej Bela Kuhn doręczył czeskim towarzyszom z polecenia centrali moskiewskiej milion koron dla Pragi i pół miliona dla okręgowego komitetu partji komunistycznej Libercach. Gdy Zinowjew stanął na czele Kominternu, przeznaczył on na Czechy kredyt w wysokości 7 milionów koron rocznie. W roku 1922 szef sowieckiej misji handlowej — Mostowienko doręczył Szmerłowi pięć milionów koron. Od roku 1925 Komintern zmniejszył swoje kredyty do 1.800.000 koron, nie licząc specjalnych kredytów doraźnych. Dalej Goliaf twierdzi, jakoby większość wybitnych socjaldemokratów, którzy przeszli następnie do komunistów i stoją dziś na czele obozu komunistycznego w Czechach, została przez komunistów w ordynarny sposób przekupiona. Zwłaszcza Bela Kuhn stosował przekupstwo działaczy politycznych na szeroką skalę. Między innymi przekupionym został w ten sposób i sam Szmeral.

To samo miało miejsce i z przywódcami robotników — górników w Cladno. Panowie komuniści, a do niedawna jeszcze ex-socjaliści, kazali sobie drogo płacić, a z uzyskanych w tej drodze pieniędzy korzystali i bawili się na szeroką skalę. W Cladno odbywały się wówczas prawdziwe orgje: luksusowe mieszkania, damy z półświatka, nocne lokale, najdroższe wina — oto tło, na którym święciła tryumf korupcja polityczna za pieniądze bolszewików. Doszło do tego, że władze centralne partji komunistycznej wydelegowały do Cladna specjalną komisję kontrolną, która postawiła dwudziestu wybitnych komunistów w stan oskarżenia za dokonanie malwersacji pieniędzy partyjnych.

Jednak sprawę zatuszowano ze względu na jej drastyczny posmak i kompromitujący dla partji charakter. Walka o prawo dysponowania kredytami moskiewskimi bez kontroli była istotną przyczyną ustawicznych konfliktów, rzekomo „ideowych”, które trawiły partję od samego początku jej istnienia. Najpierw Hacken usuwa Szmerala, ale wkrótce i sam musi ustąpić w walce z Ilkiem i Bolenem, którzy ogłosili siebie za prawowiernych interpretatorów woli Lenina, a wszystkich innych za odszczepieńców. Czynił to ten sam Ilek, który jeszcze bardzo niedawno nazywał Lenina „idjotą” i ten sam Bolen, który w bardzo ostrej formie krytykował stosunki polityczne i ekonomiczne, panujące w Rosji Sowieckiej. Hacken został skazany przez centralę Kominternu na wysłanie do Rosji, gdzie zajął jakieś podrzędne stanowisko. A jednak po pewnym czasie udało mu się pozyskać znowu względy ślepej Temidy sowieckiej i wrócić do Czech. W rezultacie Hacken nie ma powodu do zbytowego żalu, bo z biednego nauczyciela ludowego stał się on bogaczem, posiada luksusowe mieszkanie, a jego kochanka kosztowności, oceniane na 30 tysięcy koron.

Oto, jak Goliaf wyobraża „kulisy” rewolucji światowej.

Z. K.

RZĄDY PARLAMENTARNE WE FRANCJI I ICH BRAKI

Częste zmiany gabinetowe we Francji wypływają z samej istoty parlamentarnego ustroju francuskiego, jako skutek jego braków, w szczególności — jako wynik wadliwego funkcjonowania ciał ustawodawczych. Mówiąc o kryzysie parlamentaryzmu we Francji, zarzuca się Izbowi przede wszystkim, że ich działalność sprowadza się zasadniczo do walk stronnictw o władzę, dzięki czemu funkcje rządowe parlamentu rozszerzają się zbytnio kosztem funkcji ustawodawczych.

Istotną wadą w ustroju francuskim jest bierna na ogół rola prezydenta republiki i ministrów w stosunku do Izby Deputowanych. Czterech zwierzchników państwa musiało ustąpić przed wpływem okresu urzędowania z powodu presji wywartej przez Izbę: marszałek Mac Mahon w r. 1879, Grévy w r. 1887, Casimir Périer w r. 1895 i Aleksander Millerand. Nie jest słusznym mniemanie, że rządzi gabinet ministrów w miejscu prezydenta, ponieważ Izba może narzucać im swą wolę za pomocą wielkich stałych komisji, które to ciała ustawodawcze mianuje przy każdej kadencji.

Słabość rządów parlamentarnych trzeciej republiki polegała przez długi czas na niestałości gabinetów i ich krótkim trwaniu.

21 lutego 1883 r. Jules Ferry utworzył gabinet, który trwał do 30 marca 1885 r. Upadek jego nastąpił wskutek paniki wywołanej chwilowem niepowodzeniem armii francuskiej w Tonkinie. Po r. 1885 niestałość gabinetów wzmagala się ciągle; wyrażano życzenia, by rząd trwał przynajmniej jeden rok, jak władza konsułów rzymskich. Od r. 1895 nastąpiło znaczne polepszenie za rządów Méline'a, które trwały od 30 kwietnia 1896 do 14 czerwca 1898. Gabinet Waldeck Rousseau'a istniał od 6 czerwca 1899 do 7 czerwca 1902 i ustąpił dobrowolnie po wyborach dla niego niepomysłnych, z powodu złego stanu zdrowia premiera, który zmarł istotnie wkrótce po dymisji. Po nim nastąpił rząd Combes'a, trwający do 9 stycznia 1905. Gabinet utworzony następnie przez Rouviera upadł 7 marca 1906, ustępując miejsca — Sarrienowi (Clémenceau — ministrem spraw wewnętrznych). 19 października 1906 Sarrien podał się do dymisji i premierem został Clémenceau (była to raczej rekonstrukcja gabinetu).

Od r. 1895 zdawało się, że władza stała będzie należeć do umiarkowanych socjalistów lub do radykałów: od 27 stycznia 1895 do 6 czerwca 1899 prezesami rady ministrów byli kolejno: Ribot, Leon Bourgeois, Méline, Brisson i Karol Dupuy. Od czerwca 1899 przeważnie radykali stali u steru rządów.

W r. 1911 upadły kolejno gabinety: Brianda, Monisa i Caillaux. 13 stycznia 1912 szefem rządu został Poincaré, który przetrwał na tem stanowisku aż do obioru go na prezydenta republiki w styczniu 1913. W 1913 roku istniały trzy gabinety: Brianda, Barthou i Doumergue'a (do 9 października 1913).

Powodem niestałości gabinetów były ważne i trudne do rozwiązania zagadnienia tego okresu, głębszą jednak tego przyczynę stanowiło zmniejszenie się po wyborach r. 1910 większości rządowej (radykałów). Szczególnie zaważyło na tworzeniu się rządów coraz bardziej postępujące jej rozdrabianie. Małe grupy

zdawały się zyskiwać stale na znaczeniu. W czasie przesilenia prezydent republiki zasięgał opinii wszystkich kierowników partji republikańskich.

Jan Gambetta zalecał zjednoczenie wszystkich stronnictw lewicowych. Za Waldeck Rousseau'a powstał związek czterech grup lewicy, jako odbicie i poparcie rządu; każda grupa mianowała delegatów, którzy tworzyli radę, mającą na celu badanie spraw wniesionych do Izby i znajdujące zgodnego dla nich rozstrzygnięcia. Delegacja grup lewicy odegrała wielką rolę podczas rozpraw nad projektem rozdziału kościoła i państwa.

Skreśliłiśmy tych kilka uwag ze względu na to, iż braki parlamentaryzmu francuskiego nie straciły dziś nic ze swej aktualności, a szczególnie uwydatniły się w okresie powojennym, przyczyniając się do chronicznych kryzysów gabinetowych. W związku z tem rozlegają się w kołach demokracji francuskiej wszelkich odcieni głosy, nawołujące do naprawy usterek obecnego systemu w kierunku wzmocnienia egzekutywy i zabezpieczenia ciągłości prac prawodawczych parlamentu przed rozkładowemi wpływami zmiennych konjunktur partyjnych.

I. Lewin.

CICHA REWOLUCJA W RUMUNJI

Liberałowie rumuńscy, reprezentujący wielką własność ziemską, wielki przemysł i finanse, od kilku dziesięcioleci rządili Rumunją. Dzierżyli ster państwowy wówczas, gdy niewielkie królestwo z dwóch zaledwie składało się prowincyj — Moldawji i Walaohji, rządili w Jasach podczas wojny drobną częścią kraju, wolną od okupanta niemieckiego, utrzymali też władzę gdy powstała wielka Zjednoczona Rumunja, łącząca Dobrudżę, Bukowinę, Transylwanję i Besarabję ze starem Królestwem. Umieili się liberałowie dostosować do nowych powojennych stosunków, umieili wziąć w karby bardziej pod względem kulturalnym i politycznym wyrobioną ludność przyłączonych krajów, umieili też — jakkolwiek w starem Królestwie nadal reprezentował i interesy wielkiej własności ziemskiej — przeprowadzić w Besarabji i Transylwanji najbardziej liberalną reformę rolną. Pomimo wprowadzenia zasady powszechnego głosowania, korzystając z misternie skonstruowanego systemu wyborczego i doskonale wyćwiczonego aparatu administracyjnego, tworząc faktyczną mniejszość w Zjednoczonej Rumunji, utrzymywali się oni przy władzy w ciągu całych dziesięciu lat po wojnie, dzięki sztucznej większości, stale „fabrykowanej” w parlamencie.

Machinacjom leaderów partji liberalnej, braci Bratianu, najenergiczniej przeciwstawiła się transylwańska partja narodowo - chłopska pod wodzą posła Maniu. Dookoła tej partji grupowała się cała opozycja partyjotyczna i demokratyczna, wpływy jej wzrastały w miarę wzmagania się korupcji biurokratycznej. Powstała wreszcie taka sytuacja, w której wszechładni liberałowie, ciesząc się też tradycyjnem zaufaniem korony, gotowi byli podzielić się władzą z opozycyjnymi

„tsaranistami”, byle nie tracić swych wpływów. Natarcie elementów opozycyjnych było jednak zbyt silne. Łączyli się w tej ofensywie przeciwko liberalom pominięci przez reformę rolną chłopci starego Królestwa z drobnymi przemysłowcami i kupcami, wegetującymi z powodu cel ochronnych, stworzonych przez liberałów dla poparcia wielkich rekinów handlu i przemysłu; łączyły się wszelkie grupy postępowe i demokratyczne z dążącymi do władzy włościanami krajów przyłączonych. Stworzone przez Maniu wielkie centrum opozycyjne zażądało władzy, — nie połowicznej do spółki z liberałami, lecz całkowitej, — celem przeprowadzenia wyborów do nowego parlamentu bez żadnego „oddziaływania” na wyborców. Położenie liberałów pogorszyło się wskutek śmierci wytrawnego polityka i lidera ich Jonela Bratianu, który w ostatnich dziesięcioleciach utrwalił „dyktaturę” stronnictwa. Zmarłego premiera zastąpił brat jego Vintila, lecz ten nie mógł uporać się z wzrastającą nawałnicą opozycyjną. Przetrwiał on dwa groźne kryzysy: dynastyczny i okres zjazdów chłopskich w Alba Julji, lecz gdy nadszedł trzeci — odmowa udzielenia pożycz-

ki zagranicznej w obawie, iż ludność chłopska nie będzie płaciła podatków, — rząd liberałów zmuszony był ustąpić.

Rada Regencyjna powołała na stanowisko premiera dr. Maniu. W ten sposób bez przelewu krwi i bez jednego wystrzału dokonana została rewolucja w Rumunii. Naczelnem hasłem nowego rządu jest demokracja władz państwowych, wolne wybory do ciał ustawodawczych, walka z korupcją, zniesienie cel protekcyjnych, ugruntowanie wolności obywatelskich, które dotychczas w Rumunii cieszyły się niezbyt wielkim szacunkiem, przeprowadzenie ogólnej sanacji, ustalenie normalnych stosunków z mniejszościami narodowymi, wytworzenie wreszcie takiego stanu, przy którym ten najbogatszy kraj na Bałkanach znalazłby odpowiedni teren do rozwoju swych sił naturalnych. Wielka Rumunia demokratyczna, wypisująca na swym sztandarze szczytne hasła wolności, równości i braterstwa, wewnątrz skonsolidowana, silna zewnątrz, wywrze niewątpliwie dodatni wpływ na układ stosunków wzajemnych w południowo - wschodniej Europie.
H-g.

„GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

KILKA SŁÓW O LITERATURZE DLA MŁODZIEŻY

W zeszłym roku miałem rozmowę z pewnym wydawcą książek dla dzieci i młodzieży. Był duńczykiem, a więc pochodził z tej grupy narodów, które na literaturę dla podrastającego pokolenia zwracają największą uwagę.

Duńczyk stwierdził fakt, że prawie nie istnieje współczesna literatura dla dzieci i młodzieży, a co najniebezpieczniejsze — że w niektórych utworach wyraźnie tkwią pierwiastki propagandy politycznej — zjawisko zupełnie szkodliwe i niepedagogiczne.

Wydawcy obracają się w wązkich granicach utworów pisarzy, którzy mieli nieprzeparty wpływ na trzy poprzednie pokolenia białej rasy.

Twórczość w zakresie literatury dla młodzieży nikogo z pisarzy współczesnych nie porywa, a tymczasem na całym świecie wyczuwa się brak książek dla młodych czytelników, którzy jednak są ludźmi naszej epoki: wielkiej wojny, Ligi narodów, doniosłych wynalazków, porywów, skierowanych na cele praktyczne, zaniku dawnej etyki i urabiania nowych zasad moralności.

Wydawcy londyńscy i paryscy brak zdrowej, zajmującej i pouczającej książki dla młodzieży i dzieci skonstatowali. Pokazywano mi tomy tej literatury i opinię o niej rodziców, wychowawców, kleru, polityków i... młodych czytelników.

Nie są te głosy zbyt pochlebne, doprawdy!

Rozmowa, wynikała z tego powodu zupełnie przypadkowo, nasuwa mi szereg myśli, dotyczących Polski.

Co do mnie, myślę, że my, zdaje się, mamy najwięcej dobrych książek w dziedzinie literatury dla młodzieży i dzieci, a więc znaczy to, że nasi pisarze z wyżyn twórczości swojej łaskawem okiem spoglądają na młodszą generację i od czasu do czasu czują potrzebę przemówienia do niej.

Przykład tego rodzaju dał Henryk Sienkiewicz, a i inni też zaczynają myśleć o młodych i najmłodszych.

Książki naszych pisarzy bez wątpienia mogłyby się znaleźć zagranicą obok najpoczytniejszych utworów, jak Robinson Kruzoe, Chała Wuja Tomasza etc.

Czego potrzeba narazie?

Przytaczam opinię wydawców zagranicznych.

1. Wykorzenia krwawej moralności wojny (bloody war's morality). Dojść do tego można okazując szczerą i głęboką miłość do ludzi i zwierząt. Roztkliwianie się nad żebrakiem, starcem, opuszczoną kobietą, chłopczykiem w mroźny wieczór wigilijny, — są to stare kawały. Pokazać w książce sposoby szybkiej i planowej pomocy, z udziałem samych ofiar ciężkiego życia, nie dobroczynność, jałmużnę i żebranie, lecz walkę o poprawę bytu bliźniego, o postawienie go w warunkach zdobycia sobie prawa na byt i szacunek społeczeństwa — stanowi zdrowy i bardzo potrzebny temat. Rozrzucenie kilku groszy biedakowi wytwarza hypokryzję miłosierdzia. Doraźna i racjonalna pomoc stanowi stopień do zdrowego poglądu na warunki socjalne, wytwarza podstawy dla społecznych reform, przez wszystkich wyczuwanych i istotnie niezbędnych.

Co do zwierząt, to, pomijając już naukowo-przy-

rodnicze znaczenie obcowania ze zwierzętami, wiemy, jak dzieci lubią przyglądać się i bawić z ptakami i czworonożnymi przyjaciółmi swymi. Ale jakże wielką różnicę w stosunku do nich daje się zauważyć u poszczególnych ludów.

W Londynie i Paryżu szeregi pędzących na złamanie karku samochodów zatrzymują się, gdy pies lub kot przebiega im drogę.

U nas szofer uśmiechnie się tylko, gdy pod kołami jego wozu rozlegnie się skowyt i żalosne skomlenie przejechanego zwierzęcia.

W Rosji najulubieńszą zabawą dzieci jest topienie szczeniąt, kociąt i schwytyanych wron.

2. Wyrobienie w przyszłych obywatelach poczucia prawa i sprawiedliwości. Zmysł tych dwu zasadniczych podstaw życia społecznego został mocno przytępiony w dobie wojny, rewolucji i tak zwanej powojennej naprawy bytu ludności. Wygląd ulic, instytucyj i zbiorowisk publicznych, kronika dzienników najlepiej o tem świadczą.

3. Wskazanie konieczności i sposobów wyrobienia dyscypliny życiowej. W naszym wieku, chorym na brak woli i odpowiedzialności za swoje czyny jest to wprost niezbędne dla wychowania zdrowych pokoleń nowych obywateli.

4. Popularyzacja nauki, która postępuje tak szybko naprzód, że obecnie już nikt nie potrafi być encyklopedystą. Powieść fascynująca, naukowa w znacznym stopniu ułatwi proces pochłaniania treści wiedzy i pobudzi do studjów w tym lub innym kierunku nauki. Wells powiedział niedawno, że obecnie nie można napisać powieści fantastyczno-naukowej. Dzisiejsza wybujała fantazja pisarza nazajutrz staje się już dokumentem, wydanym przy opatentowaniu za Nr. takim a takim, temu lub innemu fachowcowi, nieraz o zupełnie miernych zdolnościach. Inna rzecz w obrębie powieści, która ogarnia kwint-essencję nauki danego zakresu: budowę okrętów, lotnictwo, metalurgję, chemję, geografję, elektryczność i t. p.

5. Romantyzm jest bardzo pożądanym. W połączeniu z praktycznym wychowaniem wytwarza on warunki dla niezbędnego porywu. To jest konieczne dla twórczości w dziedzinie sztuki, nauki, prawa, niezbędne dla życia publicznego i politycznego.

Ta strona twórczości literackiej jest dla nas — Polaków najzupełniej swojska. W naszych charakterach ów romantyzm nie tylko marzycielstwa, lecz czynu tkwi głęboko.

Nareszcie *pro domo tua*.

Przestarzałem i niepotrzebnym dla młodych wydają się tragiczne, łzawe wspomnienia z ubiegłych lat naszej niewoli. Ten okres minął, jak epizod historyczny i odtąd żadnego wpływu na charakter młodych generacyj mieć nie powinien.

Poco mamy zmuszać młodzież do przyglądania się smutnej przeszłości, gdy jest tyle do zrobienia dziś i jeszcze więcej — jutro?!

Ktoś na to spyta: „a gdzie patryjotyzm?”

Przypominam sobie pewną rozmowę z Albertem Shaw, redaktorem New-Jorskiego „Review of Reviews”. Mówiliśmy o Polsce.

Posługiwałem się argumentem patryjotyzmu.

— Co to jest patryjotyzm? — zapytał zupełnie szczerze A. Shaw.

Objasniłem, jak rozumiemy miłość ojczyzny my — Polacy.

— O, — zawołał Amerykanin. — Nasz patryjotyzm nie sięga tak daleko! My dążymy tylko do tego, aby jutrzejszy dzień był dla gwiazdzistej flagi Stanów lepszy, od dzisiejszego.

Może, nad tą formułą amerykańską w obecnej dobie odbudowy kraju należałoby dobrze pomyśleć? Patryjotyzm gorący i rozumny na dwa dni najbliższe, ale z oddaniem wszystkich sił serca, ducha i mięśni? Czy nie miałoby to lepszych skutków niż mgliste, mistyczne głoszenie mesjanizmu naszego?

Angielski polityki Cecil Rhodes też był w swoim czasie angielskim mesjanistą, lecz bardzo praktycznym, bo twierdził, że

— Zadaniem życia każdego obywatela Wielkiej Brytanji powinna być możliwość codziennego pokrywania czerwoną angielską barwą nowych kawałków mapy kuli ziemskiej!

Nasz patryjotyzm powinien być praktyczny i razem dający młodzieży wiarę w potęgę naszej ojczyzny.

Jest to konieczne, bo, przecież, nasza młodzież brała czynny, ofiarny udział w obronie odradzającej się ojczyzny. Nagrodą za to bohaterstwo i poryw powinna się stać wiara niezłomna w rozwój Polski nie zaś zwiątpienie i rozczarowanie.

F. A. Ossendowski.

PIEŚŃ O CZERWIENI*)

*Widziałeś? —: w ziemi zasłuchanej
burak zielony żąda siły.
Jak w liściach krzepko młodocianych
pęcznieją wołą życia żyły.*

*Jak z gleby trysnął w jędrne ciało
strugą fontanny rozżarzonej
upał rozrostu, głośny, śmiały,
czerwony, krwawy sok — czerwony.*

*Jak runął w górę, ciszę zerwał,
arterje rozdał — i jak morze
rozlał się po liścianych nerwach
i zafurkotał jak porzecz.*

*Jak startł na miazgę, jak wyważył,
jak bicz ukreślił z zawieruchy
i jak pod słońce rozpożarzył
zażywną zielen w czerwień ruchu.*

*Barwa, którą na sztandar wziął Karol — wziął Iwan;
w którą się kat ubiera i monarsza pycha;
którą rzeźnik i dziecko i dziewczka oddycha,
latarnia podejrzana i kościelny dywan.*

*Wszyscy ją swoją mienią, więc czerwień z Ogrójca
z potem przelana za świata zbawienie,*

*) Witold Hulewicz, zasłużony organizator Zjazdu Literatów w Wilnie w pierwszych dniach grudnia występuje z recitalem poetyckim w Warszawie w Klubie Literackim i Artystycznym.

za zmartwychwstanie i za odmienienie —
skradł na chorągiew zbójców zbójca.

Świeci światu „krasne znamię” —
i cóż my — słabi — pomożem,
że z szczerwienionym w zębach nożem
kłamie.

* * *

Nie jest czerwona wasza gwiazda.
W waszych piersi wystygłych gniazdach
zmarły skradzione dzwony.
Wasz sztandar nie jest czerwony.

Czerwień jest barwą żywej krwi.
Na waszych rękach, manifestach waszych
krew z żył ruskich, fińskich i laszych
martwo się szkli.
Krew nie czerwona, krew nie krwawa, —
krew stęchła, trupia, ścięta, zakrzepła i rdzawa.

* * *

Czerwona barwa jest święta.
Czerwona barwa jest życie.
Czerwień jest niepojęta:
czerwony sygnał okrętu,
czerwone sosny na szczycie,
czerwone korale skąpane,
czerwone zawstydzenie,
czerwone usta kochane,
czerwone w zorzy cienie,
czerwone tulipany,
czerwone wszystkie rany
niewinne.

w Wilnie 1928.

Witold Hulewicz.

NA MARGINESIE

Nad czym pracują? Władysław Kozicki wydaje niebawem dramat p. t. *Święto Kos* odznaczony II-gą nagrodą na konkursie teatralnym m. Lwowa, pracuje nad monografią o *Gabryjelu Rodakowskim*, Kazimierz Brończyk pisze czteroaktowy dramat p. t. *Duma o Mieczu*, Lucjan André wydał *Szlakiem Niepodległości* oraz *Jaskinię Platona*, Irena Mrozowicka opracowuje zbiorowe wydanie powieści dla młodzieży, którego tom I p. t. *Za głosem Dumy* ukaże się w tych dniach, ponadto kończy komedję fantastyczną p. t. *Poeta i Lalka*.

* * *

Lauretami konkursu wydawców za wydatną pracę krytyczną zostali W. Borowy, K. Irzykowski i Boy-Zeleński.

Zasada konkursu nader słuszna: Ożywić tak słaby w dziedzinie pracy krytycznej ruch, pobudzić twórczość krytyków, którzy pośród powojennej publiczności tak trudno znajdują czytelników. Może w odniesieniu do krytyków wydawcy nasi okażą więcej stałości, niż w stosunku do autorów, nagrody tegorocznej nie skasują, utrzymują ją na rok przysły, tak, by inicjatywa konkursu mogła objąć wszelkie odłamy pracy krytycznej polskiej.

Sędziami na doroczny konkurs o Nagrodę Rzeczypospolitej za najlepsze dzieło literackie w ciągu ostatnich trzech lat wybrani zostali: Z ramienia rządu pp. Dr. St. Kołaczkowski i prof. Józef Ujejski, z ramienia PEN-Klubu Dr. E. Breiter, z ramienia Zw. Zaw. Literatów Polskich L. Pomirowski, ze strony Zw. Autorów Dramatycznych S. Kiedrzyński.

* * *

Ani jedno ze stowarzyszeń literackich, więc ani Związek, ani PEN-Klub, ani chyba Stow. Dziennikarzy i Literatów nie otrzymało zaproszenia na doroczne posiedzenie Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, które odbyło się 27 na uniwersytecie warszawskim. Wspominaliśmy już o tej sprawie zeszłego roku, okazuje się jednak, iż bezskutecznie. Rzecz wydaje się nam ważną. Wiadomo powszechnie, jak trudno dziś w różnolitych dziedzinach wiedzy o utrzymanie tak koniecznej łączności. Łączność ta jest jeszcze trudniejsza do utrzymania o ile chodzi o kontakt ze sztuką piękną, która przecież w najżywszej swej formie, tak bliska jest najsyntetyczniejszym przejawom nauki.

Jest chyba rzeczą całkowicie niewskazaną, by stowarzyszenia utrudniały wzajem ów kontakt, nie nawiązując go nawet w tak uroczystych chwilach, jak doroczne posiedzenie. Wzajemne obcowanie a chociażby nawet tylko poznanie się może dla obu stron (literatury i nauki) być zawsze z wielką korzyścią.

* * *

Złota Księga Polski ku uczczeniu pierwszego dziesięciolecia niepodległości pod naczelną redakcją A. Kraushara i prof. A. Suligowskiego, wydana przez Instytucję Wydawniczą *Odrodzenie Polski* p. K. Merperta, — ma być w swem założeniu historją rozwoju politycznego i gospodarczego Rzeczypospolitej.

Książka wydana na pięknym papierze z dużym nakładem typograficznego zbytku, nadużywa nieco emfaticznego tytułu. O ile jest mniej więcej dość obiektywną historją rozwoju politycznego, o tyle rozwój gospodarczy traktuje w skrócie nader dowolnym, kończąc ów skrót całym szeregiem zwykłych handlowych ogłoszeń.

Wielki tytuł, uroczystość wydawnicza w postaci portretów Pana Prezydenta, Pierwszego Marszałka nie licuje zupełnie z tą ogłoszeniową stroną.

Nie mówimy już o tem, że dziwnie wygląda *Złota Księga Polski*, w której znalazło się miejsce na ogłoszenia handlowe, — na „Gastronomję”, „Pod bukiem” na Gutnajera, Rosenbesa i t. d., na cały rozdział o powszechnej wystawie krajowej, natomiast niema ani jednej stronicy dla polskiej kultury, sztuki, literatury oświaty.

Należałoby koniecznie pomyśleć o jakimś innym, mniej syntetycznym tytule dla tego wydawnictwa!

* * *

Ukazał się jeszcze jeden malutki tomiczek „*Po Drodze*”, nakładem księgarni Krzyżanowskiego w Krakowie. Autorem tego tomiku jest młody poeta p. Włodzimierz Zelechowski. Tom cały zawiera, ściśle mówiąc, 26 stronnic pobieżnych szkiców poetyckich, z których dwa, trzy najwyżej potrafił poeta utrzymać w tonie. Pośpiech zbyt wielki w występowaniu przed publicznością nie może wyjść na dobre młodemu talentowi. Czyż nie lepiej zaczekać, przetrwać formę — pocóż sprowadzać poezję — do pobieżnego szkicu?! jkb.

BELLUM OMNIUM

Tak było: miodoskwar słoneczny, co przelewał się przez brzegi stężalego w upale ogrodu — i gałęzie drzew nawisłe gęstą falą uwiedłych liści — i siesta w poobiednim dosycie w schyłku lipcowego dnia na wilegaturze... Kiedy w ogrodzie zjawił się znów — „Cichy”.

Przy stole, to szeptem wymówione czyjes: „idzie Cichy” — niby zakłęcie — wtrącało nas zwykle w ciszę i odrętwienie. Milczeliśmy, wyczekując z niepokojem przybycia tego smutnego gościa. Szedł. Zwiastował go skrzyp tłoczonego żwiru na ścieżce. Przyszedł. Stał przed oszkloną werandą. I swoim zwyczajem nie mówił nic.

To właśnie było najbardziej przykre. I męczące. Takie wymowne milczenie. Jakby wiedział dobrze, że jego dwoje pustych rękawów, wsuniętych w boczne kieszenie jesionki, i obrzękła twarz łazarza, i głębokie, sine oczodoły — mówią za niego lepiej nad wszelkie powiedzenie.

Czekał.

Torturował nas swą obecnością. Chociaż stał, skromny, z opuszczonymi powiekami, patrzył w ziemię. Wstydział się.

My wstydziliśmy się stokroć więcej. I cierpieliśmy. Za niego: straszliwy wytwór wojny. I za siebie: jakgdybyśmy osobiście temu byli winni... I jakgdybyśmy bezpośrednio byli odpowiedzialni za jego ręce, pogubione na froncie, za jego zmarnowane życie.

Nazwaliśmy go „Cichym”, bo był zawstydzająco skromny i bezbronny. I nie mówił nic. Pieniądze, które mu nasz dziadek, wspaniały, krzepki, srebrnobrody starzec, wkładał do kieszeni jesionki, „Cichy” przyjmował z „ułybką”, jak mawiała nasza bratowa, repara-trjanka. Żadne słowo — dowodziła z istic kobiecym uporem — nie wyraża lepiej napoły melancholijnego, napoły dziękczynnego uśmiechu. „Cichego”, niż ta „ułybka”, która osmuca jego twarz, kiedy go wspierają jałmużną.

Według zapewnień dziadka, „Cichy” mówił jeszcze zwykle półgłosem „dziękuję”, ale tego już nikt z nas nie słyszał.

Łączyła nas z „Cichym” utajona, wzajemna sympatja. Cieszył się naszą protekcją... Tak! tak! oczywiście! Na zimę miał zapewnione mieszkanie w naszej willi, i dziadek przeznaczył już pewną sumę dla naszego stróża, Andrzeja, którego obowiązkiem będzie utrzymywać „Cichego”. Tak! tak! oczywiście!

A jednak istniało między nami a „Cichym” jakieś zawstydzające niedomówienie: gotowiśmy mu byli wszak nieba przychylić... Nie umieliśmy. Bo kiedy zjawiał się w ogrodzie i, milczący, z oczyma utkwionemi w ziemię jak skruszony winowajca, zatrzymywał się przed werandą — otchłań nieprzebyta otwierała się między nim a nami, i napróżno wyciągaliśmy do niego ręce!..

Cokolwiek bylibyśmy uczynili, cokolwiek bylibyśmy powiedzieli, on zawsze był po tamtej stronie!!

Jałmużna?.. wsparcie?.. zapomoga?

Wstyd!..

Bracie?..

Tak!.. bracie!.. Ale oddajcie mi moje ręce!..

Rozdzielała nas otchłań nieprzebyta i jego cisza niepokonana.

A kiedy odszedł, opatrzone pieniędzem i naszemi przychylnemi myślami, długo milczeliśmy...

Zwykle bratowa, pierwsza, przerywała to milczenie, klnąc głośno wojnę, która jej zabrała dwóch synów. Lecz potem znów wszystko wracało do zwykłego porządku rzeczy.

„Awanturnik” przychodził przed południem. Śmiało wkraczał na werandę, rozkładał na ziemi swój kram. Całą zawartość dwóch skórzanych teczek. Mydła, grzebyki, notesy, ołówki, scyzoryki. Kręcił czarną, stożkową głową, mrugał chytrze zielonkawemi oczyma, zapraszał do kupna, zachwalał swój towar. Też inwalida!.. Byliśmy zakłopotani. Nic nam z tych rzeczy nie było potrzebne i już mieliśmy pełne mieszkanie tych jego scyzoryków, grzebieni i notesów. Rzeczy, dla swej obrzydliwej tandety, nie do użycia. Ale jakże tu nie wesprzeć inwalidy, jakże od takiego nie kupić?

„Awanturnik” był przez trzy lata na froncie. Rennenkampf, Tannenbergr, Łódź, gazy trujące(?)...

Cierpiał na astmę: kula przesyła mu płuco; nie mógł się jać innego zajęcia i sprzedawał swój towar po cenach znakomicie przekraczających wartość każdej rzeczy. Jednak nie umieliśmy się mu nigdy oprzeć: zawstydział nas swem kłamstwem — jest stuprocentowym inwalidą, a przecie nie chodzi po żebrze, sprzedaje dobry towar... Dawał do zrozumienia, że nie powinniśmy pozwolić, żeby zginał marnie.

Trzymając się jedną ręką filara werandy, lecz przechylony wagą całego ciała w bok, wsparty drugą ręką o wystawione do przodu kolano, oddychał ciężko. Niby, że jest zmęczony i że astma go dusi. Był jednocześnie uosobieniem naszego sumienia i naszym sędzią. Wystawiał się nam przed oczy niby symbol nieznanego inwalidy, mówił za inwalidów całego świata. Przymuszała nas do miłosierdzia.

Wkońcu każdy musiał coś od niego kupić. Wówczas dopiero „Awanturnik” zbierał rozrzucony po ziemi towar, wypychał nim swe teczki, zapinał wyświechtany, gumowy płaszcz, i życząc nam długich lat zdrowia, odchodził. Zostawał nam po nim niesmak i przeświadczenie, że pozwoliliśmy się oszukać. Dziadek robił porównania między „Cichym” a „Awanturnikiem”, dochodził do wniosku, że „Awanturnik” ma się lepiej niż „Cichy” i że to jest niesprawiedliwość!.. Bo że tamten, bezręki, nie może nawet myśleć o pracy, gdy ten — ma ręce i oszukuje! „Awanturnik” poprostu wyłudza pieniądze!

Postanowiliśmy skończyć z „Awanturnikiem”.

I oto po jakimś czasie przyszedł znów. Lecz na swoje nieszczęście przyszedł w porze, w której prawdziwie była mu pisana zguba. Bo niedość, że było postanowione:

1° że się z nim skończy raz na zawsze,

2° że cnota zatriumfuje nad oszustwem, — i

3° że w ten sposób — niejako symbolicznie —

Dawid („Cichy”) męstwem swojej pokory pokona Goljata („Awanturnika”) — lecz nadto w owym dniu „Awanturnik” zeszedł się był przed werandą z „Cichym”.

Zajęci rozmową, nie zauważyliśmy zrazu ich przybycia. Jak się okazało później, według relacji Andrzeja, „Cichy” wszedł do ogrodu tylną furtką, z prawej strony, „Awanturnik” — głównym wejściem, szeroka zajazdowa aleja, z lewej.

„Cichy” — z prawej, „Awanturnik” — z lewej; niczem dwie dusze na Sądzie Ostatecznym.

Tak ujrzelśmy ich, stojących przed werandą, i rozmowa zgasła jak zalane wodą ognisko. Cisza okryła nas tak głęboka, że słyszeliśmy upadającą z szelestem gazetę, co się wysunęła dziadkowi z ręki. Obaj stali przed werandą, wszakże „Cichy” — wtyle, za „Awanturnikiem”, i naoboczu (żeby nie przeszkadzać koledze), wylękniony.

— ...szanowanie!.. cześć!.. — powiedział „Awanturnik”, ukłonił się pięknie, wysunął się jeszcze bardziej na środek, zastaniając umyślnie intruza, co samą swą obecnością przeszkadzał w handlu. Zaczem jał wypróżniać swe teczki. Przyniósł dziś nową rzecz: pasłę do obuwia. Uszczęśliwiony, przypochlebny, otworzył pudełko na pokaz i błysnął przed nami lśniąca powierzchnią żółtego krążka jak mierny artysta blichtrzem swej mizernej sztuki. Szukał pochwały w oczach państwa, szukał uśmiechu, szukał zgody. Nie znalazłszy jednak nic oprócz niechęci, zamknął zrećznie swe pudełko. — Tylko trzy złote! — powiedział. — Dwadzieścia groszy zarobku dla inwalidy!..

Milczeliśmy.

Kalendarze kieszonkowe! Bardzo praktyczne! Z ołówkiem anilinowym! Okazywał je, chełpliwy, sześć naraz, ujętych zgrabnie, wachlarzowato w jednej ręce. Pięć złotych sztuka!..

Wytrzymał pauzę ciszy, zastanowiony naszem uporczywym milczeniem. Nie śpiesząc się, odłożył te kalendarze nabok.

Lecz gdy okazana ruchem pełnym wdzięku, okrągłym, flaszka przedniego atramentu, również nie znalazła naszego uznania, „Awanturnik” powiódł po nas obrażonym wzrokiem, poczem, przez ramię, obejrzał się za siebie.

„Cichy” stał, bierny, przypatrywał się obojętnie, czekał.

— Tylko dwa złote!.. — krzyknął „Awanturnik”, rękę z flaszka wznosił w górę, obłokiem gestu i krzyku, ruchem, czynem usiłował zasłonić tamtego.

Nie zasłonił.

Lecz już teraz pojął w lot całą sytuację. Tedy udając, że poprawia na sobie palto i zabiera się do zademontowania innych przedmiotów, wznosił z rozmachem zgięte w łokciach ręce i jak ptak z obciążeniami skrzydłami cofnął się o krok, lokciem trącił bezrękiego intruza, żeby sobie poszedł precz, żeby nie przeszkadzał!..

— Mydelko pierwszorzędnej firmy... O, tego już nam było za wiele!.. Patrzyliśmy, zgorszeni. „Cichy” bez oporu wycofywał się z pola, schował się za świerk i, niezdecydowany, zbierał się do odejścia, ustępował, miejsca gwałtownikowi. Lecz wówczas dziadek podniósł się z fotela. Surowy sędzia, laską, na której się był wspierał, zgarnął wystawione na pokaz grzebyki, flaszki i pudełko „Awanturnika”, strącił je z podłogi werandy na schodki. — Nic dziś nie zarobisz!.. Wynos mi się z tym śmieciem! I żeby cię tu więcej nie widzieli, krętacz!.. Marsz!..

Wzniesiona laska dziadka zakończona gumowym stemplem wskazywała „Awanturnikowi” jego właściwą drogę. — Marsz!

Sposzony, pełen niewysłowionego zdumienia, patrzył przez ramię dziadka na nas, milczące audytorjum we wnęce oszklonej werandy, wymownym spojrzeniem kaprawych oczu odwoływał się do naszej litości, błagał o ulaskawienie. Rennenkampf!.. Cała wojna!.. Bez pracy!.. Uczciwy zarobek!.. Mlamlął jakieś słowa bez związku. Umilkł. Osłupiały, czytał z naszych zaszepionych twarzy wyrok potępiający. Więc jeszcze w ostatnim, niedoleżnym porywie samoobrony chciał coś błagać... I niby aktor na scenie, gestem niemej perswazji wyciągnął ku nam załamane ręce, śmiesznymi ruchami głowy dawał znać, że nic z tego nie rozumie, i że nie jest winien.

Lecz wznesiona nad jego głową laska dziadka nie opadała.

— Marsz!..

Tedy rozumiejąc, że przegrał ostatecznie sprawę, nachylił się po swoje grzebyki, pudełko, mydła. Ale jeszcze ostatni raz obrzucił złem spojrzeniem swego największego prześladowcę. Dziadek właśnie w tej chwili podszedł był do „Cichego”, wkładał mu pieniądze do kieszeni.

Schylony nad swemi teczkami, „Awanturnik” dołem, kątem oczu podejrzwał tę rękę, czyniącą jałmużnę; błyskawica nienawiści zapaliła się w jego żółtoszklonym spojrzeniu, zgasła pod opuszczonymi powiekami, i tylko prędkie, nerwowe ruchy palców, któremi zaczął zgrabić do teczek swój towar, świadczyły o jego tłumionej pasji. Teraz już wiedział ponad wszelką wątpliwość, co sądzić o swej porażce.

Z godnością, powoli, zapinał palto. Ponury, bez słowa, podążył za odchodzącym „Cichym”.

— Szelma! — powiedział dziadek, wracając na werandę. Przy stole wywiązała się ożywiona rozmowa. Nie słuchałem. Obserwowałem naszego Andrzeja. Stał w pobliżu, wsparty o grabie. Był świadkiem tej patetycznej sceny. Teraz przypatrywał się widocznie przechodzącym za parkanem inwalidom. Szeroki uśmiech rozorał jego ogorzałą twarz, całą w migotliwych centkach słonecznych; stał pod lipą, w żywym witrażu złotych blasków, szmaragdowych cieni. To był uśmiech człowieka prostego, który się radował ze zwycięstwa biedaczyny.

— Andrzeju!

Nie słyszał. Wsparty o grabie, obracał się jak słonecznik, odprowadzał wzrokiem odchodzących inwalidów. Wiedziałem, że za chwilę podejdzie do nas, żeby się podzielić swemi spostrzeżeniami. Otóż nie!.. Patrzyłem, zdumiony. Andrzej pochylił się, zgiął, i jak wyżeł, wężą zwierzynę, wyciągnął szyję, podpatrywał coś niezwykłego, bo rękę jak daszek przed słońcem wystawił u czoła nad oczyma. Zaczem rzucił grabie i puścił się pędem do bramy. Zniknął za krzakami. Ukazał się znów na drodze. Wiedziałem go skroś szpar w sztachetach: pędził co sił. Wybiegłem za nim przed furtkę. I zrozumiałem jego pośpiech. Opodał, u końca drogi, przy ostatniej willi, stał przyparty do parkanu „Cichy”, bezbronny, wystawiony na gniew „Awanturnika”, który wymachiwał mu pięściami przed twarzą. Na chwilę Andrzej zasłonił mi obu. Leciał z wielkim krzykiem. — Ty cho... Zbóju sakramencki!.. Takis in-

walida!.. Potem ujrzałem ich znów. W miejscu, gdzie biała trasa piaszczystej drogi między willami skręcała do lasu, otwierał się lej gliniastego jaru. Nad brzegiem tego jaru zobaczyłem wojnę inwalidów: dwoje ciał, skręconych w laokonowym uścisku nienawiści. Spłeceni niby zapaśnicy, z których jeden lada sekunda powali na ziemię drugiego, znieruchomieli na mgnienie oka w tej atletycznej, monumentalnej pozie, a potem zaczęli się chwiać nad brzegiem jaru...

Stężałem z przerażenia. Pamięcią objąłem ów jar, mało zadrzewiony, o półnagich, stromych ścianach skamieniałej gliny, i srebrnopienistą żyłę strumienia, ciekącego na dnie, i szarozziarnisty odmiar żwiru u brzegów. Przede mną Andrzej zatrzymał się, zastygł z wyciągniętą groźnie pięścią, patrzył.

Tamci dwaj znieruchomieli znów i trwali pod ubłękotnionym wyżem nieba, w słońcu, czarni — rzekłbyś: posągi z ciemnego kamienia. Lecz już po chwili osunęli się na ziemię jak rozpadły pomnik, przechylili się zgodnie, leniwie, miękko z krawędzi niby jakaś niekształtna, brylowata masa — i zniknęli mi z oczu.

Ostępiały, nie mogłem uwierzyć... Andrzej poruszył się, biegł. Patrzyłem: Andrzej, leżący plackiem nad brzegiem jaru i wypatrujący tam owych nieszczęśliwców, i teczka, porzucona na drodze, i czapka, i jeszcze jedna teczka opodal... Po tem pobojowisku, — uwierzyłem: tak było.

Władysław Rymkiewicz.

KSIĄŻKA W ODRODZONEJ POLSCE 1918 — 1928

Utarło się to już dość powszechnie, dzięki surowym wymaganiom doraźnych krytyków, a nawet po części dzięki biadaniom samychże wydawców, iż autorzy nie piszą dzisiaj dobrych książek. Że już nie piszą tak, jak dawniej umieli taki naprzykład Sienkiewicz, czy taki Prus, czy taka Konopnicka, czy naprzykład taki Żeromski. To, że temuż właśnie Żeromskiemu przez cały ciąg jego twórczej działalności odmawiano talentu, robiono z tego twórcy jakiegoś sadystę, ba, po śmierci: nawet odmawiano prawa do ziemi cmentarnej, — nie liczy się już dzisiaj.

Autorzy nie piszą tak, jak dawniejsi pisarze umieli.

Uważam, iż zarzut powyższy jest zupełnie nieśluszny, choćby z tego powodu, iż bez perspektywy czasu nie można sprawiedliwie ocenić, na ile właśnie dani pisarze jakiegoś okresu, odpowiadają historycznym i społecznym warunkom chwili.

Uważam, — ze swej strony, — iż pisarze współcześni dają wysiłek poważny, bardzo sumienny, jeżeli go zestawić z warunkami w jakich pracują. Do całokształtu owych warunków tworzenia pisarskiego należy przedewszystkiem inicjatywa wydawców. Cóż więc dziwnego, że na wystawę Książki w Odrodzonej Polsce (pełny tytuł wystawy brzmi, — Książka w Polsce odrodzonej 1918 — 1928) szedłem z pewnego rodzaju lękiem, — ba może nawet zawstyżeniem:

Mówią nam pisarzom, że nie umiemy pisać tak

dobrze, jak dawniej, a oto równocześnie pokażą nam i publiczności wielki, piękny współczesny aparat wydawniczy. Pokażą jakoś książkę, jakże już dziś zręczny sposób produkowania, jakże wytorny typ, jakże umiętny jej pokaz, wreszcie jakże miłe i wnikliwe sposoby jej sprzedaży. Okaże się tu, że mamy świetny warsztat, któremu my pisarze w nieumiejętności pisania nie umiemy dostarczyć właściwego materiału!

Pobieżne choćby tylko zwiedzenie wystawy, — uspokoiło mnie, niestety, w moich obawach. Ogólnie rzecz biorąc musiałem być jeszcze raz stwierdzić, co już tyle razy mówiłem poufnie a nawet publicznie pisałem w tym zakresie.

Wystawa książki w odrodzonej Polsce od 1918 — 1928 roku w salach Resursy Obywatelskiej stwierdza raz jeszcze, że wydawcy nasi mają do książki stosunek zdawkowy, pół na pół obojętny, że odnoszą się do niej aż nadto przedmiotowo, — bez miłości.

Wyobraźmy sobie, że po dziesięcioletniej działalności, pełnej cierpień, trudów, poświęceń związek sprzedawców cukru, kawy, perkalów, czy przyborów chirurgicznych, związek wdzięczny tym artykułom za wcale niezłe istnienie poszczególnych członków urzędu dziesięciolecie użycia kawy, cukru, czy perkalów. Prosta, najprostszą wdzięczność i sumiennosc nakazywałyby takiemu związkowi wydrukować katalog wystawy. Wydrukować coś w rodzaju przeglądu treści, jakości artykułów ich rozpowszechnienia i t. p.

Związek wydawców urządzający wystawę książki w Polsce odrodzonej nie zdobył się nawet na taki akt kurtuazji wobec książki na wystawie. Przeciętny widz przychodzi na tę wystawę i właściwie nie wie, o co chodzi. Widzi tu to samo, co widział i widzi tyle lat, przechodząc ulicami miasta: Tu więc, jakgdyby w skrócie Gebethner i Wolff, tam znów jakby szyba okienna Arcta, tu jeszcze Ossolineum i t. d.

O ile szyby wystawowe naszych księgarzy nie grzeszą smakiem a naogół nie dają przeglądu ważności eksponatów, o tyle kioski na wystawie, choć nieco lepsze od wystaw, — niedaleko odbiegają od typu szyb okiennych księgarń.

Tytuł wystawy — Książka w Polsce odrodzonej 1918 — 1928, — uprawnia zwiedzającego do większych nadziei, — niż powtórzenie szyby wystawowej. Ludzie sądzą, iż dowiedzą się tu o losie i rozwoju książki polskiej za ostatnich lat dziesięć.

Jak się dowiedzieć, — od kogo? Czy niema jakiegoś rozumowanego katalogu wystawy?

Oczywiście, — niema. Nie dowiemy się tu nic o rozwoju (tak niezmiernie ciekawym) popularnego romansu, o nagłym wzroście i upadku literatury kryminalnej, o niezmiernie charakterystycznym rozwoju przekładów z literatury powieściowej bolszewickiej i o spadku tych przekładów, o stosunku przekładów z literatur obcych do rozrostu literatury rodzimej.

Nie stworzono katalogu wystawy, w najgrubszych nawet cyfrach nie uporządkowano wystawianego materiału.

A jakże w końcu wystawiono na widok publiczny same książki?

Trudno o bardziej zdawkowy, mniej estetyczny sposób pokazu. Wydawca, czyli człowiek, który daje szatę zewnętrzną t. zw. tworom ducha, nasz wydawca, który tak chętnie nadużywa wciąż tytułów dobrodzieja, fun-

dującego społeczeństwu wszelakich Sienkiewiczów, Reymontów i Żeromskich, winienby chyba stać wyżej, gdy chodzi o szatę zewnętrzną od różnych bezpretensjonalnych w tej dziedzinie Frambolich, Plutosów i t. p.

Tymczasem, — nie wyobrażamy sobie tak małej dbałości o pokaz, nie wyobrażamy sobie tak koszarowego gustu na żadnej wystawie czekolady, — jakie panują na wystawie Książki w Odrodzonej Polsce. Wzięto tu poprostu książkę i z minimalnym zachodem estetycznym, jak śledzie, czy sproty ułożono, — tomy koło tomy, Nie zharmonizowano w żadnym sensie ani koloru, ani barwy poszczególnych kiosków, czy firm.

Czy książki, jako takiej, a więc i wystawy książki nie można urządzić i pokazać w jakich takich chociażby walorach plastycznych? Czy stylizacja miejsca, okładki, perspektywy, powagi tworu książkowego ma u nas nie przekraczać nigdy normy przeciętnego jarmarku?

Wystawa książki sięga tytułem swym poza zgromadzony materiał. Nie jest wystawą dziesięciolecia, nie obejmuje trudnych czasów poniemieckich i naszych wojennych. Nie jest też wystawą książki, t. zn. całej książki polskiej. Ścisłe mówiąc jest wystawą Związku wydawców. Przypuszczam, że jedna trzecia część wydawców i księgarzy jest na tej wystawie nieobecna. Nie chodzi nam tu, oczywiście o spory, jakie w łonie polskiego księgarstwa mogą istnieć, lecz o rzecz samą. Książka polska to — mimo wszystko, — nietylko związek wydawców i księgarzy.

Podobno na wystawie tej przyznano już nagrody, za trzy najpiękniejsze graficznie książki. Laureatami zostali p. Mortkowicz, Biblioteka Polska i Książnica Atlas.

Tu znów należy uczynić zastrzeżenie: Nie może tego rodzaju dyplom honorowy opiewać za najpiękniejszą graficznie książkę od 1918 — do 1928. O ile nam wiadomo, — jedno z najpiękniejszych książek polskich graficznie wydał K. Stryjeński, t. j. Rymy i Rytmu Dziecięce, Jak Baba Djabła Wyonacyła, oraz Monochomachję. O nagrodę graficzną mogłyby ubiegać się Kolędy (Stryjeńskiej) wydane u Burjana, wreszcie Statut Puławski wydany przez Cotty'ego. Książki te pokazujemy zawsze z wielkim trjumbem granicą, nie wyszły one jednak z inicjatywy wydawniczej wielkich związkowców księgarskich, lecz powstanie swe zawdzięczają prywatnym zabiegom.

W dzień wystawy otwarcia w salach Resursy Obywatelskiej mimo, iż zwiedzała wystawę P. Prezydentowa Mościcka i przedstawiciele miarodajnych czynników z p. ministrem W. R. i O. P. Świtalskim na czele, — było zimno. Nie kazano, czy też zapomniano napalić. Chłód ów pozwalam sobie uważać do pewnego stopnia, — za symboliczny. Zimna jest cała ta wystawa, pobieżna, niekompletna, powierzchowna, szumna w tytule, niecisła w wykonaniu, Stwierdza ona raz jeszcze w znacznej mierze słuszność naszych zarzutów i naszych tez, które streszczamy na tem miejscu przy każdej sposobności, a mianowicie:

Nie jest winą pisarzy, iż książki nie idą; nie jest winą publiczności, iż nie zajmuje się i nie opiekuje książką. Zanedbanie książki w społeczeństwie powodują w pierwszej linii wielcy związkowi wydawcy nasi, którzy nie dają właściwego przykładu miłości książki polskiej.

Juljusz Kaden-Bandrowski.

LITERATURA A MUZYKA

(Przybyszewski, Wyspiański, Baliński, Iwaszkiewicz, Kaden-Bandrowski, Hulewicz).

Czy Nietzsche jest „polskim filozofem”, jak go nazywa wydany przed kilku laty „Dictionary of Modern Music and Musicians”, — to sprawa, na rozstrąsanie której, nie tu miejsce. Ale w stosunku Nietzschego do muzyki, jeszcze niedawno krytyk francuski André Coeuroy dopatruje się „słowiańskiej” umysłowości Nietzschego. Zapewne i postać Nietzschego — muzyka nie pozostała bez wpływu na polskich pisarzy (Berent, Przybyszewski).

Widzimy w rozmaitych enuncjacjach muzycznych Nietzschego namiętność, pasję intelektualną, zawrotność koncepcji, które go szczególnie zbliżają do niektórych polskich typów literackich. Djonizyjski pierwiastek w „Narodzinach Tragedji”, żywołowy szal, nieujęty jeszcze intelektem, nieskrystalizowany w formy świadomego artyzmu, — djonizyjski pierwiastek, jest prążywołem sztuki u ras młodych, jest surowcem sztuki narodów w ich dziecięctwie. Stąd może czujna obserwacja Nietzschego dla zjawisk muzycznych pierwotnych, stąd zrozumienie muzyki nieintelektualnej, nawet śpiewu **naprzekór** jego tekstowi. Śpiew staje się zrozumiały przez samo udzielanie się wzruszenia muzycznego, śpiew ludowy szuka sobie słów, nieudolnie, bo istnieje już **przed** słowami, bo jest wyrazem „djonizyjskiego” stanu duszy. Mussorgski jest dla nas, dzisiejszych przykładem tego stanu. Twardzizna i brutalność, ciemna groza, dudnienie podświadomych przydźwięków umyślne jakby nieokrzesanie estetyczne Mussorgskiego, oto świetny przykład stanu djonizyjskiego w rozumieniu Nietzschego. Jakaś niesamowita, tępa siła żywioł prze do świata sztuki, bez pomocy słów, muzyka wyraża się sama. A ścisły związek tańca, mimiki z potrzebą wyrazu u ludzi pierwotnych ras, przenosi w istocie identyczne zjawisko do—Strawińskiego. Pod powłoką wyrafinowania instrumentalnego tkwi tu pierwotna, głucha siła, ale i zarazem naturalność wyrazu ruchowego.

Siły muzyki są dla Nietzschego głębsze niż intelektualizm. Pieśni rosyjskie, wogóle pieśni ludowe są nieintelektualne. Taniec jest znów tylko obejściem intelektualizmu. Stąd niechęć Nietzschego do opery re? nesansowej i jej literackości, stąd szukanie istoty wzruszenia muzycznego w tragedji greckiej i dytyrambach djonizyjskich. W dramacie muzycznym Nietzsche chciałby wyplenić resztki literackości i wszelki ślad „grand opéra”. Akcja dramatyczna ma się wypowiadać samemi tylko sugestjami **plastycznymi**.

W koncepcji Nietzschego mieści się jądro jego dramaturgji operowej. Ale koncepcja ta załamywała się w praktyce. A praktyka ta wyrastała nieraz ponad teorję. Załamaniem się tej linii koncepcyjnej Nietzschego, był jego stosunek do Wagnera.

Muzyka Wagnera olśniewała młodego Nietzschego. Nietzsche pierwszy raz odwiedza Wagnera w Szwajcarii, w jego pustelni banity. Wagner jest dla niego „największym genjuszem i największym współczesnym”. Dzieje tej „Sternenfreundschaft” opisała Pani Elżbieta Foerster - Nietzsche, siostra filozofa. Rozłam zaczął się od rewizji doktryny wagnerowskiej. Rozkosze ostrego intelektualizmu Nietzschego zawiodły go do podpatry-

wania oportunistów doktryny Wagnera. Niefuność wobec „Beethovena”, Wagnera, gdzie Nietzsche wietrzy podrzucanie Beethovenowi idei wagnerowskich, potem rozczarowanie z powodu gloryfikacji Niemiec („w Śpiewakach Norymberskich”), wreszcie „korzenie się Wagnera przed krucyfiksem” (Parsifal), doprowadzają Nietzschego do niweczącej syntezy: „Wagner jest nędznym komedjantem” — ein verletzter Schauspieler! W końcu broszura Nietzschego „Zmierzch Bożyszczka” — oto etapy rozłamu.

Ale istotą odwrócenia się od Wagnera, to była przecie dawna koncepcja Nietzschego muzyki niefilozoficznej, dalekiej od intelektu, od deklamacji i retoryki. Skutkiem było odwrócenie się od „Gesamtkunstwerku”. Kiedy Nietzsche odsunął się od Wagnera, podziw jego dla „Carmen” jest tylko adoracją fluïdu muzycznego, naprzekór tekstowi, sceniczności bez filozofii, **mimo** wszystkich przesłanek operowych.

Autorów na poparcie jego tezy, Strawińskiego, Debussyego (Le Martyre de St. Sébastien) Nietzsche nie dożył. Ale go zaczęła intrygować postać absolutnego muzyka Brahmsa, w którym też czuł głębię djonizyjską — co prawda pod pozorami romantyczno-klasycznymi. **Szukanie podświadomych prazródół** w muzyce, a obok tego zaciekleść polemisty — oto Nietzsche słowiański, niepohamowany, wrażliwy, obrazoburczy, szukający w końcu wszędzie podglebia **pierwotnego**.

Przybyszewski jest żarliwym muzykiem. Sam gra Szopena namiętnie i wie przytem, że nie jest to gra artystycznie skoordynowana. Wie że jego „ja tak pojmuję Szopena” jest odstępstwem od prawideł i logiki artystycznej. Wspaniała nonszalancja wobec tych prawideł była u Przybyszewskiego świadoma. Swego zbyt „indywidualnego” traktowania muzyki, nie uważał za sztukę. Ale dusza jego wibrowała z muzyką Szopena. Odczuwał ją przenikliwie, umiał swe wrażenia wyrazić, nadać im formę poetycką, snuć z nich liryzmy swej wyobraźni. Kto słyszał „Szopena” Przybyszewskiego, w postaci prelekcji autora, szedł za wątkiem tej prozy poetycznej, czuł szczerłość jej namiętnych wywodów. Był to szereg płomiennych wypowiedzi, trochę „fin de siècle”, było to upajanie się gorącymi frazami, poza którymi jednak czuć było gorący stosunek poety do muzyki Szopena. Raz po raz w tym dialogu Przybyszewskiego z Szopena, brzmiała nuta jeszcze trzeciego Nietzschego! Ten trzeci, to nie była imaginacja słuchacza: „Chopin und Nietzsche” Przybyszewskiego, jest potwierdzeniem tej wspólności.

Jeżeli Przybyszewski pokrewny jest Nietzschego namiętnością wyobraźni muzycznej, to **Wyspiański** docierający na każdym kroku do symbolistyki muzycznej, zbliża się też wyraźnie do nietzscheańskiej koncepcji żywiołu „djonizyjskiego”. Muzyka jest dla Wyspiańskiego jednym z tych „lechickich” wtórów, które dla filozofa Nietzschego są prazródłem. Dla Wyspiańskiego są one — **symbolem**. Dziwnym urokiem jest gra symbolów u Wyspiańskiego, która co chwila stwarza sytuacje operowe, — operowość bez muzyki! Sytuacja sama już poetyzuje u Wyspiańskiego, niekiedy lepiej nawet niż słowo. Wyspiański jest wciąż u progu muzyki, czuje jej funkcję, potrzeba mu muzyki, samby najchętniej ogarnął jej czary, sama też się do niej zabierał, ustając jecna kprzeć jej oporną techniką. Miewał momenty,

w których opanowanie materji muzycznej złaowało mu się już blizkie. Nie był muzykiem...

Ale jako poeta czuł władzę muzyki, oddawał jej głos, gdzie kończył się symbolizm słowa. Nie prawi muzyce poetycznych komplimentów, jak to nieraz czynili pierwsi romantycy, ale wyznacza muzyce miejsce jako współczynnikiowi symbolizmu. Jego słowa tchną oryginalną przestyliżowaną wspaniałe operowością, wszędzie w nich tkwi **potencja** muzyki — tylko potencjalna! Przez plastyczne sugestje, przez funkcję muzyce przyznawaną, Wyspiański nie jest bez związków z dramaturgią Nietzschego. Opera, misterjum, oratorjum — wszystkie te rodzaje muzyki mają u Wyspiańskiego swe uderzające analogie. Oczywiście nie w znaczeniu, jakoby „brakowało” tym momentom muzyki i trzebaby ją „dorobić”. Trzeba tylko rozumieć, że w Wyspiańskim tkwią problemy muzyczne. Coś tam ustawicznie śpiewa i dzwoni, ale nie woła o muzykę, a najmniej o muzykę przez innych dodaną. Bo też musiałby to być **styl muzyczny**, równie oryginalny i wyrobiony jak styl innych sztuk, którymi Wyspiański władał. A bez przejścia koniecznych etapów rozwojowych, o stylu muzycznym, jeszcze w dodatku stylu oryginalnym — mowy być nie może. Melodje ludowe w „Weselu”, kolęda w „Wyzwoleniu” są momentami, które działają przejmująco. Dowodzi to tylko wymownie, jak doskonale Wyspiański czuje funkcję muzyki, jak samym już cytatem muzycznym umiał wydobyć magję nastroju.

* * *

Baliński, Iwaszkiewicz, Kaden - Bandrowski — są muzykalni. Dwaj ostatni nawet z powodzeniem uprawiają krytykę muzyczną. Winni są literaturze zdobycie dla niej tematów muzycznych, pokazanie metod kompozycji muzycznej przeniesionej do kompozycji literackiej, winni pokazać jak w podniety literackie płodne mogą być zjawiska muzyczne, ich technika, ich świat wrażeń, ich świat realny.

W „Mieście Mojej Matki” **Kadena - Bandrowskiego**, ostatnia nowela „Sława”, poświęcona pamięci wspaniałego Aleksandra Bandrowskiego, stryja autora — jest rzadkim w literaturze naszej przykładem wyćinku ze świata muzyki. Sławny śpiewak zjawia się, jak meteor, w rodzinie swego brata, przewraca Andante życia krakowskiego, występuje i podbija słuchaczy. Nie patrzy na nich śpiewając, widzi tylko nad nimi swą własną „gwiazdę”. Jest dla rodziny osłupiający techniką swego gotowego warsztatu, zagadką „złotej struny” swego głosu. Po latach zjawia się znowu, głos się kończy, sam głos to przecie „blask bez duszy”! Nie rozumieją tego dziś, mówią i piszą — że „nie ma czem śpiewać”, a „w końcu chodzi tylko o tę trochę duszy...” I w „dużych otwartych źrenicach znikła wybrana gwiazda, a zabłysły dwie ciężkie, pełne lzy...” Tragedja przechodzącej sławy! Sławy artysty sceny, któremu już Fryderyk Schiller nie obiecywał wieńców od potomności.

Aby odczuć kapitalne zakończenie tej noweli, trzeba było słyszeć Aleksandra Bandrowskiego. Słyszeć, ocenić i — pamiętać. Trzeba być muzykalnym i muzyce blizkim, aby tak ją zdobyć dla literatury!

Poeta zbliża się do muzyki z jakiej chce strony. Nie chodzi oto jakiej miary muzykiem sam jest, ale **jak jest muzyce blizkim Witold Hulewicz** odczuwa świat

indywidualizmów nawet w instrumentach muzycznych. I one są mistycznymi samoustrójami, one też mają duszę, są poematami. Bo też bez pewnego jasnowidzenia wielcy mistrzowie kremonscy nie tworzyliby arcydzieł lutnictwa.

W ich pracy działały jakieś fluidy psychiczne, które wieńczyły doskonałą technikę fachu. „Sonety Instrumentalne” Hulewicza odnajdują w orkiestrze „nieznane miasto”, w którym toczy się „przebogate życie”. Widzimy, że w tem mieście tkwią skarby impresjonizmu. Z mroków wiekowej tajemnicy snują się ku nam śpiewy skrzypiec „sekretom tęsknoty”, kołyszą się ich „świetlane freski”, które „mrok ściemniają i westchnienia mnożą”; wiele „o formie cięższej i chodzie mniej chryzym”, wspierają siostrzane skrzypce; towarzyszy im wiolenczela o „łkaniu lekliwym, płynna, słodka jak jej rzewne imię”; filigrany młodszego rodzeństwa wspiera jak „sklepienie kaplicy” — ociążały kontrabas; ciurka i trylamy skacze flet; bukoliczny obój „z oczami sarny wychodzi z lasu”; klarnet „rumiany i zdrowy” wonny jest „jak olejków czara a kojny jak szum starych drzew”, hejnały tnie trąbka „ostra jak brzytwa”; rogi „żywicznym cieniem wydarte, grały niegdyś requiem zieleniom”, pyszni się puzon „z marsem pod hełmem” niby „dragon w pełnej zbroi”; w głąb zaszyły się zbrznie kotły aby grzmieć jako „wielkich rytmów huragany”, a gong „jak rój węzów trwa w hipnozie, z dreszczów ulany”; harfa „wibrująca, wzięła kąpiel z złota, chyli tkliwie ciało wystrojone pod nagie ręce”. Instrumenty zawierają przymierza, tworzą ze sobą pokrewieństwa, rodziny. Dzwonnice, zegary, Remingtony, kuźnie, młyn, lokomotywa, młocarnia, to „też instrumenty”, przynajmniej też źródła impresji. Bach, Chopin, Debussy — to też światy poezji i różne jej „oblicza”. Synkopa, fermata, pauza — to też indywidualia... Wszędzie indywidualia, w przedmiotach, ludziach, maszynach, nawet w „ciszy po muzyce”.

Hulewicz jest panteistą, pan - indywidualistą muzycznym, czy też pan - symbolistą. A jego „Sonety Instrumentalne” mogą pokazać literatom bogactwo materiału lirackiego w muzyce. Może lepiej niż powyższe pokazały wywody.

K. Stromenger.

POPRZEDNICY MAETERLINCKA

Kto nie zna wśród najszerzych mas czytelników książki Maurycego Maeterlinka p. t. „Życie pszczół”? Praca ta ujęta w piękną formę słowa, tłumaczona na wszystkie prawie języki europejskie, interesuje zarówno dorosłych jak i młodzież. Przepojona ogromną miłością do piękna i tajemnic natury, zbliża ona człowieka do świata tych istot, których wysoki poziom rozwoju psychicznego oraz cudowne organizacje społeczne ich życia przykuwały do siebie od wieków umysły filozofów, badaczy i przyrodników wszystkich stuleci.

Maeterlink nie był jedynym ani pierwszym badaczem ich życia. Najpotężniejsze umysły już zgłębiały życie pszczół i mrówek i nad niem się zastanawiały. Przeprowadzono analogję ich życia do życia społecznego ludzkiego, a w dociekaniach i walkach o istnie-

nie duszy u zwierząt i poziom rozwoju ich psychiki, opierano się często na obserwacjach i badaniach życia tych drobnych istot.

Już ojciec wszechwiedzy, Arystoteles, który przewyższył poprzedzających go filozofów swoją wiedzą przyrodniczą, dopatrując się w duszy zwierzęcej właściwości i wartości duszy i rozumu ludzkiego, podkreśla w swojej Historji Naturalnej (8-a księga), że jedynymi „uspołecznionymi” zwierzętami są: pszczoły, mrówki i człowiek.

Rzymski przyrodnik Plinusz podzielał zupełnie poglądy Arystotelesa; zaś pierwszy pisarz ery chrześcijańskiej Celzjusz, który żył w drugim stuleciu po Nar. Chr. dowodząc istnienia duszy u zwierząt, opierał się również na przykładach, zaczerpniętych z obserwacji życia pszczół i mrówek, naukowo przez niego opracowanych. Celzjusz, jak i jego poprzednicy, tak wysoko cenił pszczoły i mrówki za ich przysłowiową pracowitość oraz cudowne organizacje społeczne, że dodaje nawet: „I jakąż różnicę widziałby ten, kto by spojrział z wysokości na ziemię, pomiędzy ludźmi i ich pracą z jednej, a pszczołami i mrówkami z drugiej strony”. (Sr. Kind. „Teologja a naturalizm w czasach chrześcijaństwa średniowiecznego”, Jena 1875 r.)

Ogółowi jednak ludzkiemu życie tych owadów było przez wieki całe nieznane i obce. Kartezjanizm, który zdławił na długi czas zagadnienie istnienia duszy u zwierząt — zepchnął dociekania naukowe nad poziomem psychiki zwierzęcej na plan dalszy. Pomimo więc badań nad pszczołami Maraldiego i Swammerdama ogół nie interesował się niemi i nic o nich nie wiedział. Dopiero wielki uczony badacz M. Reaumur rzucił snop światła na życie tych owadów i przykuł do nich uwagę szeregu następnych badaczy oraz ogółu ludzi myślących.

M. Reaumur stworzył dla nauki, w dziedzinie dociekań o psychice zwierzęcej, nową erę. Opierał się on na *obserwacji czynów*, obalając tem poprzednie puste rezonerstwo; życie zaś pszczół opracował na zasadzie swoich obserwacji, posuniętych aż do najdrobniejszych szczegółów. Dla Reaumura „pszczoły są tem wśród owadów, czem byli rzymianie wśród innych narodów”, tem zaś entuzjastycznym określeniem wywołał ironję współczesnego Buffona, który chcąc ośmieszyć drobiazgowość szczegółów obserwacji Reaumura pisał o nim: „Reaumura mocno zajmuje sposób, w jaki powinno się zwinąć skrzydła skarabeusza; zdaje się, że ten uczony o wiele więcej podziwia niż rozumuje”.

Reaumur, którego genialny umysł dotknął potrosze wszystkich gałęzi wiedzy, (był on między innymi wynalazcą termometra, noszącego do dziś dnia jego imię) i który w każdej dziedzinie był nowatorem, jako taki był oczywiście źle widziany przez swoich współczesnych. A jednak, pomimo całego szeregu następnych badaczy owadów tej miary jak: De Geer, Bonnet, Trembleyowie, Schirock a zwłaszcza Huberowie, do imienia Reaumura przyłączył przydomek — wielki.

Czyż bowiem nie jest to największym dowodem genialności Reaumura, że to on potęgą i czarem swego dzieła zdołał ślepcę, Franciszka Hubera, przeistoczyć w jednego z najważniejszych, wśród ludzi nauki, badaczy życia pszczół?!

Franciszek Huber był synem Jana, muzyka, malarza i przyrodnika w jednej osobie oraz wielkiego

przyjaciela Voltaira: Młody Franciszek w 17-tym roku życia stracił wzrok. Był on już wtedy zaręczony z panną Lullin, która pomimo jego kalectwa została jego żoną, a nawet później i naukową współpracownicą. Jej to bowiem oczami robił Huber obserwacje nad życiem pszczoł i, wydając w 1794 r. swoje wiekopomne dzieło, oto jak sam to wzruszająco prosto opowiada we wstępie do pierwszego tomu:

— „Publikując moje obserwacje nad życiem pszczoł, nie będę ukrywać tego, że nie robiłem ich własnymi oczyma. Wskutek nieszczęśliwego wypadku straciłem wzrok w pierwszej młodości, ale tak głęboko kocham wiedzę, że tracąc ten tak potrzebny organ — nie straciłem do niej zapału. Kazałem sobie czytać najlepsze dzieła z dziedziny fizyki i historii naturalnej i dzięki temu natrafiłem na ciekawą pracę M. Reaumur'a o życiu pszczoł. Znalazłem w niej tak piękny plan doświadczeń, obserwacje czynione z tak głębokim artyzmem, taką logiczność wniosków, że postanowiłem szczegółowo przestudjować tego znakomitego autora i przejąć jego system w tej tak trudnej sztuce badania natury.”

Wypada dodać, że syn Franciszka, Piotr Huber, pozostawił po sobie w nauce tak samo niezatarte imię dziełem swoim „Życie mrówek”, jak niewidomy uczonego jego ojciec będzie nazawsze wielki przez swoje „Życie pszczoł”.

Janina Maszewska-Knappe.

PETRAŻYCKI CONTRA TOŁSTOJ

W okresie, kiedy nad umysłowością Europy najsilniej ciążył wpływ nauki Tołstoja, wystąpił przeciwko jej podstawowym zasadom prof. L. Petrażycki, znakomity teoretyk prawa i socjolog: Polemika, między świetnym pisarzem rosyjskim, a naszym uczonym, toczyła się na płaszczyźnie społecznej; nie była to walka scholastyczna, oderwana od życia, przeciwnie: — dla życia społecznego miała ona niemałe znaczenie. Chodziło o znaczenie i rolę moralności i prawa.

Aby przedstawić niejako w szkicu koncepcję prawa i moralności Petrażyckiego, musimy cofnąć się do psychologii. Jak wiadomo psychologja tradycyjna, rozkładając każde psychiczne zjawisko na elementy, doszła do rezultatu końcowego w postaci podziału zjawisk na zasadnicze klasy: poznanie, uczucie (bierne) i woli (czynne). Petrażycki dokonał tu rewolucji. Według niego, pobudką naszego postępowania, najprostszym elementem psychicznym jest emocja, czynnik o charakterze doznawczo-popędowym (np. głód, miłość, ciekawość). I dopiero w biegu stuleci emocje różniczkowały się na owe trzy klasy.

U podstawy każdego naszego przeżycia tkwi emocja. Wśród tych emocyj wyróżnił Petrażycki specjalną klasę, która nas tu głównie interesuje. Gdy przeżywamy je, czujemy, jakby pewne skrępowanie wewnętrzne, słyszymy zarazem jakiś mistyczno-autorytatywny głos zwany popularnie sumieniem. Ten głos intrygował świat oddawna. Sokrates zwał go „dajmonjonem”, racjonalisci Rozumem, teiści — głosem Boga,

Schopenhauer — Wola. Immanuel Kant stworzył koncepcję osoby transcendentalnej, zwracającej się do osoby fizycznej ze swym kategoriowym imperatywem. Dopiero jednak Petrażycki wykazał, że głos ów jest związany genetycznie z objawami życia społecznego, że jest on głosem zbiorowego doświadczenia. Niema zła bezwzględne, jest tylko zło społeczne ograniczone ramą czasu i specyficznych warunków. Ojcobójstwo, u nas Europejczyków, jest najstraszniejszą zbrodnią, u Eskimosów jest faktem normalnym i niekaralnym. Co jest zło, a co dobre okazuje się dopiero w praktyce, w życiu. Ten głos zbiorowego doświadczenia zostaje nam zasugerowany od dzieciństwa.

Emocje o tym charakterze wiążącym nazwał Petrażycki emocjami etycznymi czyli obowiązku. Rozpadają się one na dwie klasy: moralne i prawne.

Emocje tkwiące u podkładu przeżyć moralnych są jedynie imperatywne, jednostronne; gdy widzimy np. żebraka, dajemy mu jałmużnę, nie dlatego, że należy mu się ona, ale pod wpływem emocji powstałej w charakterze rozkazującym.

Inaczej rzecz się ma z przeżyciami prawnymi. Emocje przeżyć prawnych są dwustronne: nietylko imperatywne, ale i atrybutywne (przydzielające), to znaczy, że w świadomości naszej powstaje przekonanie, oparte na psychicznym przeżyciu, iż w pewnych okolicznościach możemy się domagać oznaczonego postępowania wobec nas. Powiadamy, że mężczyzna winien się uklonić pierwszej kobiecie, że kobieta ma prawo domagać się pierwszego ukłonu. Na jakiej zasadzie? Na tej tylko, że jest kobietą. W świadomości mężczyzny tkwi przekonanie, że dana osoba (oczywiście znajoma) ma prawo domagać się jako kobieta ukłonu. Nie trzeba przytem faktycznego żądania, wystarczy indywidualne przeżycie o emocjach imperatywno-atrybutywnych.

Wysuwa się obecnie pytanie niesłychanej wagi, stanowiące właśnie temat polemiki: jakie przeżycia są bardziej wartościowe społeczne: czy typu imperatywnego (moralne), czy imperatywno-atrybutywnego (prawne).

Odpowiedź Tołstoja brzmiała: „moralne”, Petrażyckiego — „prawne”.

Jak zapatrywał się na rolę moralności i prawa Tołstoj?

W pięknym essey'u mówi Stefan Zweig o tem, jak trudno jest uważać twórczość samotnika z Jasnej Polany za literaturę; jego twórczość bowiem jest niemal samem życiem, potocznem a zarazem niezwykłym. Ale jeśli ten piękny realizm panuje jako metoda w jego piśmie, to niema go w tołstojowskim, metafizycznym systemacie, ukutym z najczystsze idealizmu, z najpiękniejszej miłości ku ludziom i światu.

Cały porządek ziemi, ład życia społecznego usiłował Tołstoj oprzeć na spontanicznym wybuchu miłości człowieka ku wszechstnieniu. Religją autora „Zmartwychwstania” była miłość: „kochać życie — powiada — znaczy kochać Boga”. Prawo odrzucał ze wstrętem, ponieważ wyposażone było w przymus, nie uznawał racji istnienia form państwowych, widział w tem bowiem triumf prawa nad wolą człowieka. Jedynym obowiązkiem człowieka to kochać świat i życie. Ta miłość miała być gwarancją ogólnego szczęścia.

Była to koncepcja niewątpliwie piękna. Bliska swym altruizmem tyle znaczącym słowem naszego Wieszcza, który powiedział w „Dziadach”, że:

„Człowiek nie jest stworzony na łyż i uśmiechy ale dla dobra bliźnich swoich ludzi...”.

Była to jednak koncepcja nierealna. Ze stanowiska teleologicznego mogła się okazać wręcz szkodliwą. Na tę szkodliwość zwrócił uwagę Petrażycki.

Przypuśćmy, że postępujemy, gdy drogi prawa i moralności są rozbieżne, według zaleceń ewangelistów, jak nakazywał Tołstoj. „A jeśli cię uderzy ktoś w prawy policzek, nadstaw mu i lewy...”, „a jeśli ci ktoś zabierze płaszcz twój, nie wzbraniaj mu i sukni” — powiada ewangelista. Gdybyśmy „nie sprzeciwiali się złu” zaprowadziłoby to nas nie do „Królestwa Bożego na ziemi”, ale do kompletnej anarchii społecznej. Rabuś zabierający jeden przedmiot przemocą, tem samem nabywałby możność bezkarnego rabunku drugiego przedmiotu. Zło rodziłoby zło, występki — łańcuch przestępstw. Uratować ten system możnaby było przez korektyw: „miłość jest obowiązująca”, ale nie byłaby to już miłość, ale norma prawna.

Idealizm Tołstoja był wybitnie anarchistyczny, pełen złudzeń.

Na pierwszy rzut oka widzimy, że koncepcja pisarza rosyjskiego jest piękną iluzją. Ale Petrażycki wszczął spór z przedstawicielem, jakże dalekiego mu świata, nie poto, aby obalać iluzje.

Utopijny program społeczny autora „Kareniny”, był mimo wszystko niebezpieczny. Głoszony był z niezmiernym talentem, pięknym stylem, sugerującym czytelnika. Świetne pióro służyło złej sprawie. Uczył bowiem Tołstoj pogardy dla prawa, przekonywał, że jest ono zbędne, umniejszał, mało zresztą jeszcze intensywne, poczucie świadomości prawnej w społeczeństwie.

Moralność, jako jedyna podstawa zorganizowanego życia, a więc życia społecznego, wystarczyć nie może. Nie może zastąpić prawa, które potrafi być siłą bezwzględna. I dlatego Tołstoj ucząc pogardy dla prawa był społecznym szkodnikiem, umniejszał bowiem tę świadomość, którą najusilniej należy pogłębiać, umacniać i kształcić.

Stef. Sierpień

NAD KSIĄŻKĄ

Aleksander Janta - Połczyński. „O świcie”. Z wspomnień i tematów myśliwskich. Z słowem wstępem Juliana Ejsmonda. Fiszer i Majewski. Poznań 1928.

Tom prozy p. Aleksandra Janty - Połczyńskiego jest cyklicznym zbiorem wrażeń myśliwskich i obrazów z życia przyrody. Młodzieńcza świeżość doznania, szczerzy zachwyty nad bujnością i pierwotnością życia zwierząt i drzew nadają prozie p. Połczyńskiego coś z orzeźwiającego smaku wody źródlanej, coś z żywotności zielonych ciałek chlorofilu. Z drugiej jednak strony ów młodzieńczy subiektywizm doznania psuje autorowi konstrukcję jego prozy nie pozwalając rozrość

się poszczególnym obrazom w jednolite bryły kształtów artystycznych. Trzy niepogodzone stanowiska zajmuje autor wobec tematu 1° myśliwego, który z zachwytem krzyczy „Zabiłem”; 2° miłośnika przyrody oczarowanego jej pięknem i bolejącego z powodu pustoszenia przyrody przez człowieka i 3° literata, który mówi od siebie to, co dać powinien pośrednio w artystycznym obrazie. Intruzem w opowiadaniach p. Połczyńskiego jest estetyzujący i współczujący literat. On to popsuje obrazki takie jak „Biały” lub „Ich dola”. Życie zwierząt, życie przyrody zawiera w sobie tyle niewyczerpanego piękna, że wystarczy dać tylko artystyczny, dobrze skonstruowany obraz. Komentarze w formie bezpośredniej lub co gorsza snucie literackiego, romanсового wątku wplatanego do życia zwierząt jest rzeczą zupełnie zbyteczną. Co się tyczy subiektywizmu wypowiedzi to być może, że młodych pisarzy wprowadza nieraz w błąd twórczość pisarzy wielkich, którzy sobie na pewien liryzm i swobodę mogą już pozwolić. Ich subiektywne wypowiedzenia nie rażą czytelnika, ponieważ go same przez się interesują, jako sądy czy odczucia znanej indywidualności. Opowiadania p. Połczyńskiego, w których autor potrafi możliwie dyskretnie usunąć się poza temat, zyskują na sile, dając obraz pełniejszy i czystszy.

Proza p. Połczyńskiego jest pisana językiem żywym, obrazowym a przytem doskonale polskim. Pomimo zależności od stylu Żeromskiego, który zresztą jest najlepszą szkołą, widać samodzielny wysiłek pisarski i rzetelność w operowaniu słowem.

St. Helski.

WACŁAW LIPIŃSKI

(S O C H A)

Szlakiem I-ej Brygady

WYDANIE DRUGIE, ROZSZERZONE
Z PĘDOWĄ

JULJUSZA KADEN-BANDROWSKIEGO

DZIENNIK ŻOŁNIERSKI, OBEJMUJĄCY CAŁOKSZTAŁT PRZEŻYĆ I BOJÓW ŻOŁNIERZY JÓZEFA PIŁ-SUDSKIEGO.

PRZECZYTAĆ POWINIEN
KAŻDY LEGJONISTA

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGRANIACH

Cena zł. 10

REDAKTOR I WYDAWCA: **WOJCIECH STPICZYŃSKI**

Drukarnia Artystyczna, N.-Świat 47.

Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.